

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie	
Rocznie . . . . .	7.00
Półrocznie . . . . .	3.50
Kwartalnie . . . . .	1.75
Miesięcznie . . . . .	60
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu	
Rocznie . . . . .	8.—
Półrocznie . . . . .	4.00
Kwartalnie . . . . .	2.00
Miesięcznie . . . . .	70

## REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od  
11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

## CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu . . . . . 50 k  
 W tekście (nadesłane) . . . . . 1 rb.  
 Po tekście . . . . . 20 k.

Cena numeru 30 kop.

## Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na rok 1914.

### Po dwóch latach.

Oto i drugi rok upłynął od chwili, gdyśmy wydali pierwszy okazowy numer „Przeglądu Wileńskiego“.

Przepowiadano nam rychły koniec, nie wierzone, by pismo niezależne, nie hołdujące utartym poglądom, walczące z rozpanoszoną oportunistką — mogło długo wytrwać i znaleźć dostateczne poparcie społeczeństwa.

A jednak wytrwaliśmy!

Wprawdzie droga nasza nie była łatwą. Niechęć, uprzedzenie, obojętność utrudniały nam w wysokim stopniu pracę, nie pozwalając rozwinąć się pismu należycie i tamując jego rozpowszechnienie. Z dumą jednak możemy wyznać, żeśmy wiele przeszkód przewyciężyli i liczbę naszych czytelników i zwolenników pomnożyli znacznie.

Nie zdobyliśmy ich jeszcze tylu, by pismo stało o własnych siłach, by nie potrzebowało zasiłeków, lecz o takim sukcesie trudno marzyć wogóle w naszych warunkach, gdzie czytelnictwo tak słabo jest rozwinięte i słowo drukowane uważane jest jeszcze za zbytek, nie za najpierwszą potrzebę kulturalną.

W ciągu dwuletniego wszakże swego istnienia

„Przegląd Wileński“ uczynił spory krok naprzód, zyskując sobie uznanie w coraz szerszych kołach.

Ożywczemi promieniami dla nas były dowody sympatji przyjaciół „Przeglądu“. Liczne objawy życzliwości i pomocy od ludzi, nieraz z dala od redakcji stojących, podsycaly w nas energię i dodawały otuchy do pracy, budząc wiarę w jej owocność i pożytek.

Z wiarą tą rozpoczynamy trzeci rok wydawania naszego pisma. Nie będziemy rozwijali tu szczegółowego swego programu. Rozpoczynając swą pracę od wszechstronnej analizy całokształtu naszego życia, nie kierując się z góry powziętymi formułkami, wolni od doktrynerstwa, hołdując jedynie szczeremu tradycjom wolnościowym polskim, z wolna wytworzyliśmy bardziej określony światopogląd i ustaliliśmy swe stanowisko.

Dziś jest już ono zupełnie wyraźne i żadnych wątpliwości budzić nie może.

W szeregu artykułów poruszyliśmy wszystkie zasadnicze zagadnienia społeczno-polityczne, omówiliśmy ważniejsze zjawiska w życiu publicznym, oświetliliśmy krytycznie każdą ciekawszą sprawę aktualną, zarówno w naszym kraju, jak poza jego granicami, zawsze z tą samą myślą przewodnią, sięgającą po przez gąszcz czasów obecnych w przyszłość dalszą.

Na obranem stanowisku wytrwać zamierzamy



i nadal. Jesteśmy głęboko przekonani, że placówka przez nas zajęta stanowi ważny postereunek narodowy, niedoceniany przez wielu. Niewątpliwie jego obsłudze możnaby nie jeden zarzut uczynić. Słabe strony jej dostrzegamy sami. Brakiem piór miejscowych daje się wytłómaczyć, że pismo nie stoi na tym poziomie, na którym pragnęlibyśmy je widzieć. Gdy koło współpracowników zamiejscowych „Przeglądu“ znacznie się rozszerzyło, i możemy wśród nich wymienić nazwiska głośne pierwszorzędných publicystów i literatów, natomiast zastęp sił piszących z Wilna i prowincji pozostaje wciąż szczupły i bez zmiany niemal.

Nie tyle też powody materialne, co właśnie ów brak talentów pisarskich na miejscu wpływa na nieregularne wychodzenie pisma, które siłą rzeczy zamieniło się na dwutygodnik. Nie przewidujemy w najbliższym czasie zmiany na lepsze i dlatego, by nie narażać naszych czytelników na zawód, zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że i w roku przyszłym „Przegląd Wileński“ będzie się ukazywał w odstępach dwutygodniowych. Zaraz jednak dołożymy wszelkich starań, by ten anormalny stan rzeczy nie trwał zbyt długo i nie wątpimy, że rozwój dalszy pisma pozwoli mu funkcjonować sprawniej i szybciej.

Niedokładność mimowolną usiłujemy wynagrodzić obfitością i doбором materiału oraz starannością w jego ugrupowaniu.

Sądzymy, że czytelnicy nasi zechcą uwzględnić trudności, z którymi musi się borykać pismo idejowe, dalekie od wszelkich kompromisów, i nie odmówią mu i nadal swego poparcia jaknajbardziej czynnego.

Ze swej strony dołożymy starań, by uczynić je jaknajbardziej żywotnem i pełnem.

Redakcja.

BOLESŁAW ZAHORSKI.

## Nieco o krytyce i krytykach.

Krytyk powinien mieć w sobie coś z właściwości aktora. By móc należycie ocenić jakieś dzieło sztuki, powinien w pierw w swem intuicyjnym poznaniu uczynić przezroczystem nietylko jego ideologiczne podłoże, lecz, — co jest niepomiernie ważniejszem, — te drogi i te środki artystycznej budowy, które stanowią o estetycznej wartości dzieła. Gienezą utworu, — leży zawsze w duszy jego — (właściwego) autora. Zgłębiając tę duszę, docieramy do źródła dzieła, a z ich zrozumenia powstaje ta wieża strażnicza, która nas chroni od poważniejszych zmyleń: — to obserwatorium, z którego, jak na dłoni, widzimy zasadniczy kierunek myśli, zamiarów artystycznych, inwencji, — słowem wszystkiego, co się składa na indywidualność autora i dzieła.

Lecz to nie wszystko. Odwieczne zagadnienie stosunku treści do formy, zlewających się w jedno u wielkich twórców, lecz dających stale tę, czy inną, mniejszą, lub większą rozbieżność u pisarzy pośle-

## Miast rydza—muchomór.

— Lepszy rydz, niż nic—to zasada rostopna w polityce o tyle, o ile rydz istotnie jest rydzem, a nie muchomorem trującym, oraz o ile chodzi o to, czy mamy — ofiarowany — przyjąć, lub odrzucić.

W przeciwnym razie, t. j. wówczas, gdy żądania jednej strony prowadzą się—właśnie... do marnego rydza, gdy—dla otrzymania go — strona ta nie szczędzi próśb, upokorzeń, gdy zarzeka się i wyrzeka wszelkich większych żądań, gdy twierdzi i woła, że rydz ten—dla niej jest jedynym i zbawienny,—rzecz naturalna — dla strony przeciwnej urasta on do rozmiarów olbrzymich, droży się ona z nim i stara zbyć natrętnego petenta niczem.

Bo w polityce, zarówno zewnętrznej, jak wewnętrznej, niema sentymentów, prezentów, podarunków.

Są tylko żądania, poparte takim lub innym układem sił, warunków, i odpowiednie ustępstwa. Przyczem stosunek drugich do pierwszych bywa mniej więcej taki, jak w wadze dziesiętnej. Wielki też musi być ciężar gatunkowy żądań, by odpowiednikiem jego były choćby drobne ustępstwa.

Są to prawdy tak proste i tak znane ogólnie, tyle przykładów na nie mamy w historii, że zdawałoby się nikomu nie powinny być obce.

Niestety, oportunizm i egoizm klasowy tych sfer społeczeństwa polskiego, które reprezentowane są w Radzie Państwa i Dumie Petersburskiej, są tak bezbrzeżne, że prawdy te są dla nich niedostępne, a co gorzej, strusia ich polityka sprowadza w skutkach na całe społeczeństwo, cały naród — upokorzenia i klęski.

Miast żądać „pańskie dziady“ polityki polskiej robią... „ustępstwa“, nic więc dziwnego, że rezultatem jest — ze strony przeciwnej — stawianie żądań, nic więcej.

Wszystko—naopak.

dniejszych, lub pseudo-twórców, — powinno stać się przedmiotem analitycznych rozważań krytyka. Ocena dzieła *a vol d'oiseau*, badanie i komentowanie go na podstawie wrażeń, odbieranych ze strażniczej wieży, jest czemś—niejednokrotnie—zawodnem,—podległem różnym zбочeniom i załamaniom, jakie są właściwością, wszystkich promieni, zarówno świetlnych, jak i myśli i uczuć; — wszelkim odmianom daltonizmu ideologicznego, lub estetycznego i autosugiestji. I to jeszcze w najlepszym razie:—jeśli poznanie estetyczne dokonywuje się z wieży prawdziwej, ze strażnicy istotnej, panującej w samej rzeczy nad okolicą i dającej wolny przystęp wrażeniom. Jeśli obserwatorium nie odpowiada tym warunkom, spostrzeżenia i dedukcje krytyka mają w najlepszym razie wartość minimalną, — w gorszym: nie mają żadnej.

Mały, najmniejszy nawet błąd w założeniu daje wyolbrzymiony błąd w niejednym wyniku. Wiedzą o tem dobrze matematycy i buchalterzy. Minimalne nawet odchylenie od linii pionowej fundamentu, lub parteru, mierzące się na sekundy,—stanowi o krzywiźnie całego gmachu. Wiedzą o tem architekci.

I oto, by odnaleźć miejsce właściwe dla budowy i zbudować istotną wieżę strażniczą i istotne



Wymowną ilustracją tej polityki niemowlęcej, choć obłudnej i wykrętnej, są dzieje niefortunnego samorządu dla miast Królestwa.

Zrezygnowano dlań z żądania autonomji, przeknięto „z godnością“ wyodrębnienie Chełmszczyzny, popierano rząd w projektach reakcyjnych, zerwano porozumienie z opozycją, zawiązano czułe stosunki z październikowcami, podkreślano na wszystkie tony stanowisko państwowe bez zastrzeżeń, pluto na wszystko, co dotąd było drogą każdemu sercu polskiemu, odzegnano się od wszelkiej łączności z braćmi zza kordonu granicznego, byle tylko... otrzymać rydz—samorząd.

Zgodzono się na wszelkie poprawki, zmieniające samorząd ten w karykaturę, przekształcające go w „ustawę miejską dla dziewięciu gubernji nadwiślańskich“.

Wszystko—napróżno.

Im dalej brnęli przedstawiciele kół w oportunistycznym, im więcej byli gotowi do ustępstw, tem zawziętszy spotykali odpór, tem więcej utwierdzali przeciwników w przekonaniu, że jednak... ten rydz—w rękach polaków—to rzecz dla państwa niebezpieczna.

Rydz schowano, a miast niego, ofiarowano... muchomór.

Dnia 27 października st. st. Rada Państwa odrzuciła punkt projektu, zezwalający radnym miejskim miast Królestwa przemawiać na posiedzeniach w języku ojczystym.

Pp. Stisziński i Hurko, oparci o większość starych biurokratów Rady, uznali za niemożliwe, by gdziekolwiek i w jakiejkolwiek instytucji, związanej z państwowością rosyjską, mógł się rozlegać język inny, niż państwowy.

Projekt, który wyszedł z kancelarji Stołypina, dziś, po latach kilku—został uznany przez biurokratów za niemożliwy, nieziszczalny.

Nie pomogło wątpliwe poparcie prezesa ministrów, Kokowcewa, który osobiście wystąpił w obronie redakcji dumskiej projektu. A pomóc nie mogło, bo, o ile sądzić z głosów prasy rosyjskiej,

było ono tylko manewrem politycznym. Prezes, z góry wiedział, jaki nastrój panuje w Radzie, wiedział też, że w samym gabinecie nie wszyscy ministrowie podzielają jego stanowisko.

Ze wszystkich ministrów — tylko Sazonow, Timaszew i Charitonow — poparli Kokowcewa i wzięli udział w posiedzeniu.

Bądź co bądź fakt wystąpienia Kokowcewa jest znamienity.

Świadczy on, że ci ministrowie, którzy mają do czynienia z życiem realnym państwa jak ministrowie skarbu i handlu, lub — ze sprawami zewnętrznymi, jak minister Sazonow, — są zmuszeni —mniejsza o to, z jakich względów—uznać pewne prawa odrębne naszego narodu i to uznanie zamantestować.

Nie uznaje ich tylko ta część biurokracji, która z życiem społecznym się nie liczy, której samo istnienie jest tego życia zaprzeczeniem.

I na tle tych właśnie stosunków w łonie samego rządu—tem smutniej i jaskrawiej wypukła się oportunistyczna bierna polaków z Dumy i Rady Państwa.

Nie są i nie czują się przedstawicielami narodu całego.

Nie miliony serc polskich, a szczupłą garstkę wyborców—mają za sobą.

Nie dobro i przyszłość narodu mają na względzie, a interesy swoje i swych wyborców.

Poza tem, jako ludzie, skrojeni są „na miarę krawca, nie Fidjasza“.

Nie można o nich powiedzieć nawet tego, co pisał Słowacki w swej „Odpowiedzi na psalmy przyszłości Spirydjonowi Prawdzickiemu“:

„Kiedyś ze sto was tysięcy,

Było szlachty z serc i z ła...

Dziś — jednogom znał szlachcica,

Kraj ich cały nie znał więcej...“

Tem wytłumaczyć należy brak wśród tych ludzi orientacji szerszej, oportunistyczny, chwiejność.

Tem objaśnić tylko można, że ludzie ci nie byli w stanie nie tylko wyzyskać, lecz zrozumieć

obserwatorjum, a nie — jak to często bywa — magazyń zbędnych formułek, lub lamus zwietrzałych ideologicznych rupieci, — by na istotnym zrozumieniu wszystkich plusów i wszystkich minusów autora, wszystkich zamierzeń jego i wszystkich uchybień i błędów — oprzeć sąd o nim i o jego dziele, — krytyk powinien stać się na chwilę aktorem. Jeśli jest marksistą, zapomnieć przedewszystkiem ma — o dogmatach ekonomicznego materializmu; jeśli jest symbolistą — nie mierzyć realizmu, lub naturalizmu miarą ukochania swoich symbolów. Krytyk powinien wyzbyć się na moment wszystkich swoich formułek, twierdzeń, sympatji i uprzedzeń; w milczeniu wielkim powinien przystroić płytę swojej wrażliwości artystycznej, abstrahując ją od wszelkich apriorystycznych wyobrażeń. Stać się, jak tabula rasa, na której ręka poznawanego autora ma nakreślić te czy inne znaki, twierdzenia, lub symbole. I czemś więcej jeszcze!.. Powinien stać się odtwórcą, by razem z autorem kreślić jego znaki i budować jego twierdzenia...

Pomiędzy pomysłem, a wykonaniem leży droga twórczości artystycznej. Całą tę drogę stawania się dzieła sztuki powinien przejść krytyk-aktor, chcący powziąć dokładne wyobrażenie o wartości dzieła.

Zwłaszcza, jeśli dzieło jest wielkie, epokowe, a choćby tylko znamienne. Powinien krok w krok iść za autorem, powtarzając za nim wszystkie jego giesty, sugerując sobie wszystkie jego odruchy. I jeśli — pomimo całej dobrej woli — i bycia się wszystkich apriorystycznych sądów — krytyk-aktor odczuje nie szczerość wspólnych giestów — i fałsz, lub małość wspólnych odruchów uczuć, lub myśli, będzie to najlepszym, bo najmożliwiej obiektywnym świadectwem nie tylko tej rozbieżności, jaka zachodzi pomiędzy światem wewnętrznym autora i krytyka, — lecz: co dla krytyki estetycznej jest o wiele ważniejszym — rozbieżności pomiędzy pomysłem autora, a jego wykonaniem. Ta bowiem tylko rozbieżność, jej waga, lub ewentualnie brak tej rozbieżności świadczą o talencie, lub braku talentu pisarza; — o artystycznej wartości, bądź braku zalet artystycznych dzieła.

Droga, wskazana przez nas, droga przeistoczenia się krytyka — jest drogą odpowiedzialną i żmudną, dla niepowołanych — ciężką, dla wielu niebezpieczną. Nie znamy bardziej szkodliwego kłamstwa, jak to, że każdy może być krytykiem. Krytyk istotny bierze udział w procesie stawania się walorów artystycznych; odtwarzając ponownie wszystko to, co już zostało



wagi komplikacji politycznych czasów ostatnich, że względy, które kazały Kokowcewowi wystąpić oficjalnie w obronie projektu dumskiego, nie umiały natchnąć posłów polskich niczem innym, prócz zapewnienia wierności sztandarowi państwowemu i wyrzekania się wszelkich „uroszczeń“ polskich.

W chwili tak doniosłej, jak obecna, „spiritus movens“ Koła polskiego w Dumie, p. Roman Dmowski, zdobył się tylko na frazes tego rodzaju: Rada państwa swem głosowaniem „zadała klęskę nie tylko polakom, lecz i racji stanu całej Rosji“.

Na nic innego stać go nie było.

Jakie będą dalsze losy projektu samorządu, nie wiadomo.

Rada państwa uchwaliła oddać go do komisji rozjemczej Dumy i Rady. Narady tego godnego zespołu nic dobrego dać nie mogą.

To też społeczeństwo polskie w Królestwie życzyć sobie może tylko jednego: złożenia poronionego płodu „ad acta“.

Lepiej bowiem stokroć poczekać jeszcze lat kilka na prawdziwy samorząd, niż przyjmować dary Danaów, które masom szerokim, usuniętym od samorządu, — nie dać nie mogą, a zabagnić są w stanie i tak zagmatwaną psychikę warstw uprzywilejowanych Królestwa oraz skazić ich język.

Wi-ski.

Petersburg.

## Pozbawieni niektórych praw stanu.

(Sprawozdanie specjalnego delegata redakcji).

Są nimi mieszkańcy miasta i gubernji mińskiej.

Na terytorjum tem od dłuższego już czasu zawieszono działanie niektórych praw, — i kilkole-

tni usus do pewnego stopnia uświęcił tę samowolę tak dalece, że przestaje już dzisiaj dziwić absolutnie wszystko, co mieszkańca Mińszczyzny z ręki miejscowych władz spotyka.

Zaczął się od prześladowania języka polskiego w posilkowaniu się nim publicznie.

Przestano od roku, bodaj 1908, pozwalać na drukowanie polskich afiszów, zaczęto żądać zdejmowania polskich szyldów, przestano wydawać pozwolenia na wieszanie nowych napisów polskich, słowem, rozpoczęto z językiem polskim walkę nieubłaganą i równie kategoryczną, jak kategorycznym i nie pozostawiającem żadnej wątpliwości jest prawo znoszące wszelkie ograniczenia dla języka polskiego w „9 gubernjach Kraju Zachodniego“ (Ukaz Cesarski z dnia 12 (25) grudnia 1904 r., i postanowienie Kom. ministr., zdn. 1 (14) maja 1905 r., punkt XI).

Na wszelkie domagania się osób interesowanych, aby pozwolono na wydrukowanie afiszu, czy ogłoszenia polskiego, p. policmajster Sokołow, lub jego zastępcy, odpowiadali stale i niezmiennie:

— Zdzieś nie Polska...

Czasami, w zaufaniu, temu i owemu mówiono, że istnieje jakiś cyrkularz sekretny, jakieś rozporządzenie władz wyższych, ale nikt nigdy nic podobnego nie widział, i jak się zdaje, nic podobnego istnieć nie mogło...

Nie było też wydanem i żalne „postanowienie obowiązujące“ w tej mierze, bo stosownie do wyjaśnienia senatu (wyrok Nr. 24, z d. 2 (15) listopada, 1908 r. Départ. I i kasacyjn.), gubernatorowie, jako „wykonawcy, i poniekąd stróże prawa, nie mają mocy czynić nowych postanowień, lub odstępować od istniejących“. Dalej zaś, w tym samym wyroku powiedziano, że „postanowienia“ podobne, „w żadnym razie nie mogą stać w sprzeczności z istniejącymi prawami“, a także „postanowieniami władz wyższych“.

Zakaz więc używania języka polskiego w życiu publicznem, jest bezwzględny dowodem nieposzanowania przez władze mińskie istniejących praw. Zresztą, przy wszelkich próbach nadania

stworzone przez autora, kontroluje każdy jego wysiłek, każdy jego wzlot artystyczny. Słowem powinien być odtwórcą.

Odtwórczość nie zawsze idzie w parze z samoistną twórczością, lecz zawsze — z intuicją. Refleksja niepowszednich nawet — i obdarzonych sporą dozą zdolności dedukcyjnego myślenia umysłów bywa niejednokrotnie w sprawach sztuki ubogą, lub jałową. Stąd nie wszyscy poeci są krytykami (gdyż nie sama tylko intuicja artystyczna wymagana jest od krytyka), niemniej wielu uzdolnionych krytyków: to poeci.

Gdy indywidualność poznawanego autora zatacza niepowszednie i górne kręgi, rola krytyka, tak jak my ją rozumiemy, staje się niezmiernie trudną. Łatwo podążyć za autorem średniej miary, lecz by iść — i iść godnie — za Goethem, Shelleyem, Calderonem, lub Słowackim — trzeba mieć nietylko rozległość ideologicznych wyobrażeń, jaka cechowała wspomnianych autorów, lecz i właściwą im zdolność czucia — a także zdolność jasnowidzeń. Aktor bez intuicji, choćby był mądry, jak Salomon, nie zagra roli Otella — co więcej: — nie będzie wcale aktorem! Erudycja nie stanowi bynajmniej o zdolnościach kryty-

cznych! Czy nie w tem tkwi rozwiązanie zagadki, iż tylu pigmejów kroczy drogą olbrzymów i tylu ślepców wydaje bezapalacyjne swe sądy o powstaniu świetlnych wyobrażeń? Czy nie dla tego to — między innymi — dźwiękiem dzwonek arlekina zdają się nam brzmieć apodyktyczne sądy tych, czy innych, — małych, czy wielkich — zatapiających wszelką możliwość syntezy i zrozumienia w błazeńskim tumulcie faktyków i faktów, — Hösicków, — bądź niepoprawnych i złośliwych dogmatyków — z wyżyn swoich ideologicznych lamusów — tej, czy innej platformy politycznej, odsądających — czci i wiary wszystkich tych, którzy stoją na stanowisku ideologicznem odmiennem?

„Żadnego dzieła nie można sądzić podług praw, których nie wyprowadziło się z niego samego“. Ta, a nie inna zasada powinna przyświecać krytykom. Czy tak jest w istocie?.. Ktoś niedawno podniósł w którymś z pism, że sądzi się u nas najczęściej autora nie za to, co napisał, lecz za to, czego nie napisał. I słusznie. Iluż mamy krytyków nietzscheanistów, buddystów, spirytystów, a nawet esperantystów i jaroszków, każdy ze swego, odmiennego, punktu widzenia zapatrujących się na istotę sztuki?.. Czyż nie mieliśmy cyklistów, piszących o modernizmie? czyż



swym postępkom cechy legalnej, policja mińska przegrywała, zarówno w drodze sądowej jak i administracyjnej.

Więc, w r. 1905, przegrała sprawę, wytoczoną o sztyd polski właścicielowi łaźni mińskich, K. Pławskiemu.

W r. 1913, oddalono jej oskarżenia: o sztyd polski f. „Cmielów“, o napis na torebce z lekarstwem z apteki p. W. Staroniewicza i, po raz drugi, o sztyd polski Cmielowa. Ta ostatnia sprawa była zwłaszcza charakterystyczną, ponieważ w czasie pierwszego jej rozpatrywania policja prosiła o miesiąc zwłoki dla „przedstawienia dowodów prawnych“, i po upływie dwóch miesięcy powołała się zaledwie na jakiś, bliżej nie określony wyrok senatu z dn. 17 (30) września 1911 r., którego nb. w zbiorze wyroków nie znaleźliśmy zupełnie, i przypuszczamy, że może to być jedynie jakieś zdecydowanie sprawy specjalnej, w oddziale senatu, a więc bez znaczenia i charakteru prejudykatu.

W dziedzinie administracyjnej istnieje decyzja I departamentu senatu, z dn. 10 stycznia r. 1910, w sprawie o sztyd składu drzewnego p. Proszyńskiego, który na zakaz wywieszenia go złożył skargę. Senat przyznał rację p. Proszyńskiemu.

Niemniej jednak, prześladowania języka polskiego, po miarodajnym zdecydowaniu wszystkich spraw powyższych, nie tylko nie ustało, nie tylko nie osłabło, ale nawet znacznie się wzmocniło...

Zwłaszcza z chwilą przybycia do Mińska na stanowisko gubernatora, p. Giersa, rugowanie języka polskiego przybrało charakter nader ostry. Rugowano go z jadłospisów restauracyjnych, z serwetek cukierniczych, z rachunków hotelowych...

Absurd, każący słuchaczom polskich przedstawień tylko po rosyjsku odczytywać afisze i programy, choć utarł się, i mieszkańców miejscowych nie dziwi, nie przestał być czytelnym, komicznym dowodem, do czego może doprowadzić samowola i zakazy, nie tylko na pra-

nie pisali różni wegietarianie—z punktu widzenia wegietarianizmu—o kubiźmie i futuryźmie? lub zwolennicy jedzenia tłustego mięsa o rzekomej niemoralności Żeromskiego?...

Uznać i wyrozumieć gotowiśmy i to nawet, że obok krytyki artystycznej powinna istnieć i publicystyka, co więcej, że polityczne i społeczne poglądy poszczególnych belletrystów mogą stać się przedmiotem badań, znajdujących miejsce na łamach pism politycznych, — należy jednak rozgraniczać publicystykę od krytyki literackiej i w żadnym wypadku artystycznej wartości dzieła nie oceniać z punktu widzenia odzwierciadlanych w nim politycznych poglądów autora. Kryterjum dla estetycznej oceny, nie powinna być w żadnym wypadku rozbieżność pomiędzy światopoglądem krytyka i światopoglądem autora. Jedno z najbardziej istotnych — i obiektywnych kryterjów daje w ręce krytyka poznanie rozbieżności, jaką zachodzi między ideją utworu, a jej wyrazem. Lecz, by poznać tę rozbieżność krytyk powinien przejść przez stadium aktora.

wie, ale nawet i na elementarnych zasadach zdrowego sensu...

Ale szczytem nieposzanowania prawa jest fakt zagrożenia jednemu spółwłaścicielowi firmy „Cmielów“ wysiedleniem z granic gubernji za to, że tenże osmielił się, po wygraniu sprawy o sztydy polskie, powiesić je, w większym nieco rozmiarze nazewnątrz swego sklepu...

Prawie jednocześnie, bo tego lata, tapicerowi, p. Kozakowi, dwaj stójkowi, z polecenia komisarza policji, z rwali, przy pomocy stróża sztydy, a jeden z nich wpadł nawet do mieszkania p. Kozaka, zerwał wiszącą tam za szybą reklamę polską i podarłszy ją, rzucił na podłogę. P. Kozak na podobną samowolę złożył skargę do policmajstra, ale odpowiedzi naturalnie nie otrzymał żadnej...

I po staremu, choć policja nie posiada nawet prawa prewencyjnego cenzurowania, pozwalania, lub zabrania sztydów, jednakowoż ustaliła zwyczaj, że o to pozwolenie trzeba prosić, i opłacać je 2 markami po 75 kop. każda. Choć podobne prośby są podawane, w dalszym ciągu pozwolenia na nie odmawia p. Sokołow i jego zastępcy...

Sprawa uwięzienia ks. Miłaszewskiego i ob. ziemsk. P. Szalewicza, znalazła nawet w państwowym i konserwatywnym żywiole, jakim są październikowcy, wyraz potępienia.

Obecnie, ks. Miłaszewski znów siedzi pod kluczem, i uwięziono również p. Michała Łęskiego, zamożnego i zupełnie lojalnego obywatela ziemskiego, pod zarzutem, wprost diko i nieprawdopodobnie brzmiącym: kierowania włościąmi, przy profanowaniu krzyża prawosławnego.

Co do krzyża samego, to zachodzi pytanie, w jaki sposób może on być „prawosławnym“, skoro go w r. 1863 postawił nieżyjący dziś katolik, Felicjan Birula, i żyjący brat tegoż Jan, również katolik (własnoręczne zeznanie odnośnie Jana Biruli znajduje się w rękach Koła polskiego w Petersburgu).

Jaka jest zasada do nazwania prawosławnym krzyża, poświęconego w swoim czasie przez księdza katolickiego i stanowiącego przedmiot kultu katolików?

Czy może być „prawosławnym“ krzyż, noszący zwykły napis na tabliczce: I. N. R. J.?

Na czem polegała owa „profanacja“ i jaki w niej udział wzięli pp. Łęski i ks. Miłaszewski?

Krzyż, bezwzględnie katolicki, stojący w dodatku na gruncie, choć sztucznie zrobionym spornym, ale znajdujący się we władaniu kościoła, kłonił się do upadku i groził wprost przechodniom. Kilku więc mieszczan rubieżewickich postanowiło go wkopać i postawić nowy. Aby zaś nie narazić się na nieprzyjemności, udali się oni z zapytaniem do p. Łęskiego, który sam nie znał odpowiednich przepisów, obiecał jednak dowiedzieć się. Dowiedziawszy się zaś, dał mieszczanom, czy też pokazał im kartę, na której mu ktoś wynotował ten artykuł prawa, który określa prawa właściciela gruntu do krzyża, na gruncie jego stojącym. Otóż ta karta, stanowiąca akt jaknajbardziej prawny i lojalny nazwaną została przez oskarżenie „rozkazem na piśmie“, a że rozkaz ten dany był przez prezesa komitetu budowy kościoła, więc ten ostatni staje się moralnym sprawcą „profanacji“. Sam zaś przebieg owej profanacji, był taki, że 6 mieszczan wykopało krzyż stary, i jak to ma miejsce zawsze z rzeczami poświęcanymi, od-



dało jednemu z mieszkańców Rubieżewicz do spalania. Nikt nic na śmietnisko nie rzucał, — nikt nie myślał profanować.

Zasadniczo zresztą, żadna profanacja nie mogła mieć miejsca, choćby z tego powodu, że krzyż ten był przedmiotem czci katolików...

Czemu został uwięziony ksiądz Miłaszewski, pomimo złożonej poprzednio niebywale wielkiej kaucji rb. 10.000? Przeciwno niemu bowiem nikt literalnie nie zeznawał, i o jego najmniejszym udziale w całej tej sprawie niema żadnej mowy...

Pomimo to, nie tylko osadzono obu ich powtórnie, ale nie pozwolono nadto złożyć żadnej, najwyższej nawet kaucji...

Nie pozwolono również złożyć tej kaucji i uwięzionym 6 włościanom, kiedy zaś ci ostatni chcieli podać na to skargę do sądu okręgowego, od miesiąca przeszło nie chcą im dać odpowiednich blankietów.

Oczywiście, choć uwięziły ks. M. i p. Ł. władze sądowe, jednakowoż jest rzeczą zbyt pewną, że pomiędzy tem aresztowaniem a niedawno uchwaloną formułą Izby poselskiej o bezprawnym postępowaniu gubernatora Giersa, istnieje związek organiczny, najściślejszy. Jest to nawet logicznie dość: władzom administracyjnym chodzi o dowiedzenie, że ten ksiądz o którego upominało się ciało prawodawcze nietylko zwykły, polski intrygant, ale wprost wyrodek jakiś, profanujący symbol Chrystusowy! Aresztowanie p. Łęskiego, który rzekomo do tej profanacji pchał mieszczan rubieżewickich, jest w dodatku pięknym i jaskrawym obrazem, jak bardzo i daleko zgangrenowanym jest ziemiaństwo w gub. mińskiej, wobec czego i skazanie na 3-miesięczne więzienie p. Szalewicza za urządzenie jasełek nabiera innego zgoła oświetlenia...

Aresztowany p. Łęski, b. rotmistrz gwardji, człowiek stojący absolutnie poza wszelką zbiorową pracą społeczną, nawet najbardziej legalną, zresztą chorowity i charakteru nadzwyczaj spokojnego, jest najbardziej uderzającym przykładem, że wobec samowoli mińskich „autonomistów“, którzy przywłaszczają sobie wszelkie przywileje prawodawców, nietylko literalnie nie jest zagwarantowanym od najcięższej, najbardziej srogiej i jednocześnie najzupełniej bezpodstawnej odpowiedzialności. Wobec tego oskarżenia, wszystko staje się możliwe, i każdy może być posądzony o zbrodnię i przewinienie, o jakich nie miał nawet pojęcia.

Pozatem, nikt nie jest pewien, czy i z jakiego prawa wolno mu korzystać?

Bo, jeśli ktoś, nie tylko na zasadzie wyraźnego brzmienia prawa, ale i na mocy wygranej sądownie sprawy, wieszka polski szyld, — grożą mu wysiedleniem; kiedy restaurator pisze po polsku cennik, — obiecują mu karę w wysokości rb. 300; kiedy ktoś inny stawia na gruncie w jego władaniu pozostającym krzyż, — karany jest za samowolę!

— Jeżeli funkcjonariusze państwowi dopuszczają się nadużyć, macie panowie prawo interpełacji, — powiedział niedawno posłom minister Makłakow.

A przecież, ze strony tego samego ministerjum, przy interpełacji w sprawie bezwzględnie bezprawia, jakim było naruszenie przez g. Giersa § 86 proc. karn. (zamknięcie księdza do więzienia, zamiast oddania go władzy duchownej dla osadze-

nia w klasztorze), ogłoszono, że jednak takie pogwałcenie prawa było z tem prawem zgodne.

Co więc pozostaje „pozbawionym niektórych praw“ mieszkańcom Mińszczyzny czynić, aby przywrócić w tym zakątku państwa stan prawny? Aby Ukazy Cesarskie, decyzje komitetu ministrów, etc., nie były „zawieszane“ z mocy woli wszechpotężnego gubernatora, czy też nawet tylko policmajstra?

Czy „kwestja mińska“ nie staje się dziś o tyle już ważną i doniosłą, że nie tylko w interesie ludności miejscowej, ale wogóle i z punktu widzenia państwowego nie może, nie powinna być lekceważoną?

Jak za czasów Sęczykowskiego np., gub. mińska była, jakby stacją doświadczalną tego wszystkiego, co potem usiłowano stosować na Litwie całej, a nawet i w Królestwie, tak i dziś, *mutatis mutandis*, powtarza się to samo i, za pięknym przykładem, idą już inni, mający pewne praktyczne wskazówki...

A więc *caveant consules...*

Argus.

## Zródło bogactwa krajowego w niełasce.

Kraj nasz, jak wiadomo, posiada jeden zaledwie produkt eksportowy. Jest nim drzewo. Pozatem mamy na wywóz tylko siłę roboczą, którą też wysyłamy pod postacią emigracji długo i krótkoterminowej.

O ile ten drugi „towar“ — prawdziwie żywy towar — jest wytworem klasycznym — naszych karykaturalnych stosunków, o tyle pierwszy uważany być powinien za jedno z najpoważniejszych źródeł bogactwa krajowego. Lesistość Litwy i Białejrusi w połączeniu z położeniem geograficznym, t. j. względną bliskością Zachodu tudzież spławnością rzek tutejszych, stawia kraj nasz w położeniu wyjątkowo szczęśliwym i może uczynić go dostawcą drzewa dla całej niemal Europy.

I rzeczywiście, zwraca się po nie coraz więcej krajów, a przede wszystkim Niemcy i Anglja. W miarę rozwijania się regularnego handlu eksportowego, dostrzegamy też stopniowe — acz powolne jeszcze — europeizowanie się tutejszej gospodarki leśnej. System rabunkowy ustępuje miejsca trzebieży racjonalnej, która na tem się zasadza, że las rąbać wolno tylko w miarę jego przyrostu. Na to wszakże, by ów przyrost nie ustawał, by dawał rocznie pewne quantum masy drzewa, las musi być pielęgnowany sztucznie.

Oczywiście, nie jest to rzeczą łatwą. Pamiętajmy, że kapitał, który kraj posiada w postaci lasów, gromadził się przez lat setki, a nawet tysiące, jeśli uwzględnimy stopniowe urabianie się odpowiedniej gleby. Dziś tę pracę natury człowiek musi znakomicie przyspieszyć. Inaczej nie potrafi ograniczyć się zużywaniem procentów, lecz wypadnie mu zmniejszać sam kapitał.

Ale nawet przyspieszona przez naukę praca natury w leśnictwie rachować się musi z wielkimi okresami czasu. Las sieje się czy sadzi nie



dla siebie, ale dla wnuków i prawnuków; pozatem istnienie lub brak lasu w danej okolicy odbija się nietylko na kieszeni właściciela, ale — co ważniejsze — na warunkach życia i pracy miejscowej ludności rolniczej. Wiadomo już bowiem, jak wielkim wahaniem ulega klimat, zależnie od obecności lub nieobecności lasów i jak dobroczynne wywierają one skutki.

Wszystko to czyni z racjonalnego leśnictwa gałąź gospodarki, która liczyć się musi z potrzebami ogółu, a nietylko z interesem jakiejś prywatnej kieszeni. I stąd pochodzi, że wszystkie państwa kulturalne poddały leśnictwo kontroli rządowej.

Uczyli to i Rosja.

Uczyli to w czasach bezwzględnej absolutyzmu i centralizmu, co oczywiście musiało pociągnąć za sobą najfatalniejsze skutki. Już w r. 1906 zwrócił na nie uwagę M. M. Orłow, profesor cesarskiego instytutu leśnego, który je to wykazał, że przy istniejącym systemie, państwo nawet lasami własnymi zarządzać nie umie. Szablonizując bowiem gospodarkę i nie uwzględniając najrozmaitszych warunków lokalnych, jednych lasów wcale nie eksploatuje, a inne niszczy. Wyznaczając np. jednakowe fundusze na urządzenie i uprawę lasów gub., dajmy na to, grodzieńskiej i ołonieckiej, w pierwszej osiąga 6 rb. dochodu z dziesięciny, w drugiej — nic, tylko straty. Ale zarówno ów dochód, jak i straty — to fikcja. W las gub. grodzieńskiej łoży się za mało (7% od dochodu brutto), a w ołonieckiej — za dużo (22%). Lasy gub. wołogodzkiej pochłaniają 28%, nowgorodzkiej 39%, taurydzkiej 74%, a piotrkowskiej — 5%.

Już z tych kilku cyfr widać, że praktykowany system jedne okręgi faworyzuje, topiąc w nich miliony rubli, inne zaś — poprosu dewastuje. Tak się odbija centralistyczne poddawanie jednemu stryculcowi dziewiczych lasów gub. ołonieckiej i wymagających sztucznej, pieczołowitej hodowli lasów Król. Polskiego.

„Jednym z najważniejszych zadań zarządu lasów państwowych — powiada prof. Orłow — jest przeprowadzenie urządzenia lasów i regularne kontrolowanie tego urządzenia. Rozpoczęte w końcu pierwszej połowy XIX wieku, urządzenie państwowych lasów rosyjskich małe zrobiło postępy. W Rosji europejskiej, na ogólną powierzchnię lasów państwowych — 107 milionów dziesięcin, do r. 1903 urządzono zaledwie 24,6 mil. dzies., czyli 23%. Na Kaukazie urządzono tylko 9%, a w Rosji azjatyckiej 5% powierzchni lasów. Duże przestrzenie nieurządzone znajdują się nietylko na północy, lecz również w środkowych, a częściowo i w południowych guberniach; w r. 1903 było w nich około 1/2 miliona dzies. lasów nieurządzonych, między innymi w następujących guberniach: w witebskiej 67 tys. dzies., w mińskiej 22 tys., w wileńskiej 21 tys., w mohylowskiej 20 tys., w kowieńskiej 17 tys., w łomżyńskiej 12 tys., w wołyńskiej 5 tys. I nie dość, że dotąd tak mało urządzono lasów, ale i w urządzonych częstokroć rewizje nie bywają przeprowadzane po 20 i 30 lat, a samo urządzenie i kontrola dokonywane bywają tak niedbale, że bynajmniej nie przekonują o racjonalności prowadzonej gospodarki“.

Najbardziej po macoszemu — zdaniem prof. Orłowa — traktowane są lasy rządowe w Król. Polskim, eksploatowane wedle zasad z początku

XIX wieku. Prowadzi to do wyniszczenia owych lasów, skutkiem nadmiernych cięć, złego odnawiania i prawie zupełnego braku pielęgnacji.

Rzeczą jest jasną, że jeżeli tak się przedstawia gospodarka w lasach skarbowych, to i piecza państwa nad własnością prywatną nie może być bez grzechów. Cierpi na tem niewątpliwie Rosja rdzenna, ale tam istnieje jeszcze obfitość lasów dziewiczych, którym gospodarka racjonalna nie jest tak nieodzownie pilną; cierpi Królestwo Polskie, ale posiada ono przemysł fabryczny, mogący w części straty pokrywać. W najgorszym położeniu jest nasz kraj, gdzie lasy, będące — jak się rzekło — głównym źródłem bogactwa, wyszły już ze stanu dziewiczości i gwałtem wymagają troskliwej, kulturalnej opieki. Inaczej — tnie się je, a one nie odrastają. I to stanowi właśnie główną bolączkę tutejszej gospodarki.

Mimo to jednak pewien postęp daje się zauważyć. Popyt zagraniczny, stawiający pewne określone wymagania i wprowadzający systematyczność handlową, zmusza właścicieli lasów, przedewszystkiem — wielkich, do prowadzenia gospodarki kulturalnej przy pomocy z europejską wyszkolonych leśników.

Stopniowo zarzuca się więc np. dawny system eksploatacji, t. zw. „plądowniczej“. Polega on na wybieraniu sztuk drzewa z najrozmaitszych miejsc, a nie rąbania obszarami. Ów system plądowniczy okazał się wielce dla lasów szkodliwy. Wycinanie bowiem poszczególnych sztuk niszczy drzewa okoliczne i przyczynia się do zachwaszczenia gleby. Wprowadza się więc obecnie system gospodarki towarowej, t. j. przeznaczają się do cięcia pewne całe działki, a następnie drzewo sortuje się wedle wartości. Przestrzenie zaś ogołoczone natychmiast się uprawia i obsiewa.

Ala prywatna, najracjonalniejsza nawet gospodarka bez troskliwego spółdziałania państwa obejść się tu nie może. Przedewszystkiem: cierpi nasze leśnictwo wskutek straszego braku dróg komunikacji. W Królestwie, gdzie jest znacznie więcej szos i kolei, wozi się drzewo rok cały. U nas — tylko w mrozy, sanna do spławu lub stacji drogi żelaznej. Jak to obniża rentowność lasów, nietrudno zmiarkować.

Olbrzymim dalej utrudnieniem w gospodarce racjonalnej jest absolutny brak instytucji, która systematycznie dopomagała w meljoracjach i organizowała je. Najbogatszy nawet magnat, właściciel ogromnych przestrzeni nie może podjąć się osuszania błot, zależnych od daleko rozgałęzionego systemu wodnego. Zadanie takie dostępne jest tylko organizacji państwowej, zdolnej popierać tudzież kojarzyć interesy i wysiłki prywatne. U nas jednak nie się w tym kierunku nie robi i olbrzymie przestrzenie leśne toną w niedostępnych bagnach, gdzie gospodarka racjonalna jest wręcz niemożliwa.

Do najcięższych wreszcie bolączek leśnictwa tutejszego należy bez wątpienia serwitutowa polityka rządu. Stoi ona w jaskrawej kolizji z przepisami ochrony lasów, zupełnie tak, jak monopol wódczany i kuratorja trzeźwości.

Przepisy serwitutowe zgoła nie uwzględniają wymagań kulturalnej gospodarki leśnej; upowazniają włóścian do pasania nawet na świeżo obsianych przestrzeniach, t. j. w miejscach, które zagranicą bywają conajmniej lat piętnaście najtro-



skliwiej ochraniać od dostępu bydła. Utrudnianie umów polubownych i zamiana przestrzeni serwitutowych, oraz popieranie głupiego szkodnictwa ma wszelkie cechy demagogji, strojonej w biurokratyczny (szczególnego zapachu) demokratyzm.

Warunki, w jakich rozwija się nasze leśnictwo są więc wyjątkowo ciężkie. Przemysł, posiadający dla kraju pierwszorzędne znaczenie, ochraniający pozornie tylko, w sposób szablonowy, wedle wymagań gubernji ołonieckiej, czy nowgorodzkiej, jeżeli zwołna czyni postępy, to jeno pod presją konieczności żywiłowej.

Ten los leśnictwa odzwierciadla do pewnego stopnia całokształt warunków życia naszego.

Organizowane obecnie zjazdy, z okazji odnawianego traktatu handlowego z Niemcami, nie mogą pominąć sprawy przemysłu leśnego. Nasuwa ona cały splot dezyderatów, które mocno podnieść trzeba, gdyż chodzi tu o kwestję wagi pierwszorzędnej.

—————  
Józef Sorokowicz.

## Przemiany w ugrupowaniach litewskich.

W prasie litewskiej dokonywają się w chwili obecnej dość poważne przemiany. Dwa główne pisma litewskie, wychodzące w Wilnie i odpowiadające dwóm zasadniczym kierunkom, dzielącym społeczeństwo litewskie,—demokratyczne „Letuvos Žinios“ („Wiadomości Litewskie“) i klerykalno-nacjonalistyczne „Viltis“ („Nadzieja“), wychodzące dotychczas po 3 razy na tydzień (co drugi dzień), przekształcają się obecnie na dzienniki.

W prasie litewskiej brakło całkowicie pism codziennych. Pierwszy i jedyny dziennik „Vilniaus Žinios“ („Wiadomości Wileńskie“), założony w r. 1904 przez inżyniera p. Piotra Vileiszysa, bezpośrednio po cofnięciu zakazu druków litewskich w państwie Rosyjskiem, nie zdołał się utrzymać. Po kilku latach egzystencji, zmieniając kilkakrotnie kierunki, dziennik ten w r. 1907 upadł ostatecznie i odtąd w prasie litewskiej pisma codziennego nie było. Publicystyka litewska była obsługiwana tylko przez tygodniki, miesięczniki oraz pisma, wychodzące co parę dni.

Wzrost świadomości narodowej i uspołecznienia litwinów, wzrastające czytelnictwo w masach ludowych, coraz liczniejsze szeregi inteligencji narodowej, uwydatnianie się coraz nowych potrzeb kulturalnych i społecznych, wreszcie komplikujące się różniczkowanie kierunków i walka ich o wpływy w organizacji życia narodowego, spowodowały konieczność stworzenia prasy codziennej.

Koła kierownicze obu głównych obozów litewskich, demokratycznego i klerykalno-nacjonalistycznego, doszły jednocześnie i równolegle do myśli o przekształceniu organów swoich na dzienniki. Pierwsi zakrzętnęli się demokraci, a tuż za nimi, podnieceni względami konkurencji, zabrali się do tegoż klerykali.

Jednocześnie wszakże i to właśnie na gruncie projektu dziennika zaszła pewna bardzo cha-

rakterystyczna zmiana w obozie klerykalno-nacjonalistycznym.

Trzeba zaznaczyć, że wogóle w społeczeństwie litewkiem kierunek klerykalny nie utożsamia się z nacjonalistycznym. Pozory, a do niedawna i fakty działania nazewnątrz, dawały istotnie podstawę do takiego utożsamiania. W wewnętrznym, wszakże układzie prądów i kierunków litewskich, wciąż znać było dwoistość obozu prawicy, złożonej z klerykałów i nacjonalistów świeckich. Łączyła ich wspólna niechęć do ludowego radykalizmu społecznego, reprezentowanego przez demokratów i socjalistów, wspólne poniekąd metody walki z polskością oraz stosunku do państwowości rosyjskiej.

Tak klerykali, jak nacjonałiści świeccy pragnęliby pozyskać dla sprawy litewskiej arystokrację i szlachtę, a niechęć ich do polskości ma w dużym stopniu źródło w żalu, jaki czują za odseparowanie się narodowe szlachty krajowej od większości ludu. Posiadanie bowiem własnej, narodowo-litewskiej arystokracji i burżuazji stanowiłoby dla tych kierunków ostoję przeciwko radykalizmowi ludowemu i dało w ich ręce poważniejsze wpływy w przyszłym rozwoju społecznym litwinów. Usamodzielnianie się zaś pierwiastku ludowego, które jest w obecnych warunkach ruchu litewskiego koniecznością, nie sprzyja ani klerykalizmowi, ani umiarkowaniu społecznemu, którego pożąda wykluwająca się burżuazja litewska, hołdująca nacjonalizmowi.

Takie są mniej więcej czynniki, które sprzyjały sojuszowi klerykałów i nacjonalistów świeckich w ich działalności nazewnątrz i wspólnej walce, jaką prowadziły z „postępem“, to znaczy z demokracją wewnątrz własnego narodu.

Był to jednak tylko kompromis, ale nigdy nie zlanie się zupełne. Oba kierunki zachowywały własne aspiracje, zachowywały odrębność nie tylko ostatecznych celów rozwoju, ale i pojmowania zadań narodowych w dobie obecnej. Klerykali, jak sama ich nazwa wskazuje, dążyli przede wszystkim do całkowitego poddania rozwoju narodowego (kulturalnego i społecznego) pod wyłączną batutę kierowniczą kleru. W ich myśli organizacja narodowa powinna być podporządkowana organizacji kościelnej zupełnie, powinna ulegać ścisłej cenzurze i bezwzględnej opiece duchowieństwa.

Kler litewski, jak wszelki inny, nie znosi podziału władzy i zazdrośnie strzeże monopolu swych wpływów, gdy chodzi o masy ludowe.

To też kler o tyle tylko tolerował nacjonalistów świeckich i o tyle dopuszczał ich do spóldziałania ze sobą, o ile to mu było potrzebne do walki z niebezpieczeństwem demokratycznym.

Z chwilą, gdy ustawały potrzeby tej walki, gdy niebezpieczeństwo demokratyczne było pokonane, lub gdy kler poczuwał się na siłach odprawiać dotychczasowego sojusznika z kwitkiem, zagarniając owoce zwycięstwa, lub wspólnej pracy na swój wyłączny użytek. Sojusznik był dobry tylko do posługiwania się nim, ale nie do udziału w zyskach.

W gub. suwalskiej, gdzie organizacja klerykalna jest szczególnie silna i sprężysta, ustało już dawno spóldziałanie kleru z nacjonalistyczną inteligencją świecką. Kler znakomicie zorganizowany, działa tam zupełnie samodzielnie, nie oglą-



dając się na nikogo. Dobiera on współpracowników tylko takich, którzy uznają bezwzględnie jego przewagę i zgadzają się mu służyć bez zastrzeżeń. Organizacja klerykalna posiada tam nie tylko własną prasę, ale i własne związki i stowarzyszenia oświatowo-kulturalne i nawet zawodowo-rolnicze. To też tam przeciwko sobie stają do walki bezpośredniej dwa tylko kierunki, zupełnie samodzielne, bez sojuszników żadnych—demokracji i klerykali. Oba liczą na własne tylko siły i, obchodzą się bez sprzymierzeńców pośrednich. I tylko w chwilach wyjątkowych walki, w jakichś okolicznościach nadzwyczajnych, zawierają tam klerykali sojusz z nacjonalistami świeckimi, przywołują ich na pomoc, nęcąc obietnicą udziału w zwycięstwie, której potem nie dotrzymują. Taki moment miał miejsce podczas ostatnich wyborów do Dumy (w r. 1912).

Z gub. suwalskiej posłował p. Bułat, jeden z najwyrazistszych przedstawicieli obozu demokratycznego. Klerykałom chodziło o obalenie jego kandydatury, o niedopuszczenie obozu przeciwnego do nowego zwycięstwa. Do przeciwstawienia tej kandydaturze kandydatury własnej, ściśle klerykalnej, nie czuli się dość mocni. Trzeba było popularnej i jaskrawej osobie p. Bułata przeciwstawić osobę nie mniej popularną i niemniej wybitną.

Rozpoczęli więc klerykali suwalscy flirt z nacjonalistami świeckimi, zakończony sojuszem na podstawie którego wysunięta została kandydatura popularnego p. Basanowicza.

Ten nestor odrodzenia litewskiego, człowiek wielkich zasług narodowych, za które jest ceniony przez wszystkie obozy litewskie, bez względu na różnice kierunków, dał się wypożyczyć klerykałom do walki z demokratami. Klerykali użyli popularnego nazwiska p. Basanowicza za sztandar i hasło do walki przeciwko p. Bułatowi i demokratom. I istotnie pod hasłem tem zdołali na prawyborach zwyciężyć demokratów i przeprowadzić swoich popleczników do kolegijum wyborczego. Tu wszakże, gdy się obliczyli z siłami i spostrzegli, że już są w większości i że ani nacjonałiści, ani popularny p. Basanowicz nie są im do zwycięstwa potrzebni, dali bez żadnych ceregieli odprawę swym naiwnym sojusznikom oraz wypożyczonemu przez nich kandydatowi i, nie wdając się w żadne układy, posłali do Dumy jednego ze swoich, klerykała z krwi i kości, księdza Łaukajtisa (który zdążył już dotąd w Dumie wykazać swoje oblicze i kapitalnie się skompromitować).

W gub. kowieńskiej klerykali też wznoszą się w siły i, jak świadczy ujawniony niedawno przez demokratyczną prasę litewską okólnik zjednoczonych redakcji (klerykalnych) kowieńskich, rozesłany do wszystkich księży djecezji żmudzkiej, dążą także do zupełnego usamodzielniania swej akcji od wszelkiego spółdziałania z intelligencją świecką, opierając jej organizację wyłącznie na siłach duchowieństwa.

Najdłużej i najobszerniej trwało spółdziałanie klerykałów i nacjonalistycznej intelligencji świeckiej w Wilnie, co się uwidocznilo szczególnie w piśmie „Viltis“.

I oto teraz, gdy przyszło do przekształcenia „Viltis“ na pismo codzienne, które będzie jedynym klerykalnym dziennikiem litewskim na całą

Litwę, a więc będzie placówką dla klerykałów pierwszorzędnej wagi, postanowili oni pozbyć się sojuszników—nacjonalistów świeckich. Korzystając z przewagi swojej w gremjum udziałowców pisma, przekształcili oni redakcję i ustalili na przyszłość kierunek ściśle klerykalny, zupełnie odtąd samodzielny. Pokonani i odsadzeni od wpływów i od kierunku niedawni sojusznicy musieli wystąpić z pisma i zostali wykołejeni.

Ta odprawa, dana przez klerykałów nacjonalistom świeckim, popchnęła ich narazie nieco na lewo, zbliżając ich poniekąd, chwilowo zapewne, do demokratów. Przynajmniej w jednym względzie nacjonałiści litewscy, przez to doświadczenie na własnej skórze, zbliżyli się poniekąd do demokratów: w nieufności do klerykałów, w zrozumieniu niebezpieczeństwa zachłanności, jaką klerykalizm zagrażał młodej litewskiej kulturze narodowej.

Nacjonałiści świeccy, wyparci z „Viltis“, zakładają teraz, ze swym wodzem p. Antonim Smetoną i posłem Yczasem na czele, nowe dwutygodniowe wydawnictwo ilustrowane w Wilnie pod nazwą „Vairas“. Jakiemi drogami podaży ta grupa, zmuszona siłą rzeczy do samodzielnego działania i stanowiska,—pokaże bliska przyszłość.

Drugi powstający dziennik litewski—„Lietuvos Žinios“—pozostanie takim samym, jakim był dotąd, to znaczy jakim wychodził co dzień drugi.

Będzie to organ demokracji ludowej litewskiej. O ile w obozie prawicy litewskiej zwycięstwo klerykalizmu oznacza wyraźny zwrot ku wsteczniectwu, o tyle w rozwoju demokracji litewskiej dają się w ostatnich czasach dostrzec pierwiastki uspołecznienia głębszego i szczerzego.

M. R.

## Rozłam wśród ludowców.

Obok sejmowej reformy wyborczej, która przechodzi od lat kilku różne koleje, to zbliżając się już niemal do urzeczywistnienia, to znów zatrzymując się w martwym punkcie, z którego, jak się zdaje, wyjścia niema, drugą sprawą, która zaprzęta umysły w Galicji, jest niewątpliwie rozłam w Polskiem Stronnictwie Ludowem. Rozłam ten wstrząsa poważnie równowagą sił politycznych w Galicji, a ponieważ rozmaicie jest komentowany, zasługuje na bliższe oświetlenie.

Polskie Stronnictwo Ludowe, które w ostatnich latach ogarnęło swojemi wpływami szerokie masy ludu wiejskiego i stało się poważnym czynnikiem politycznym, desygnując ze swego łona nawet ministrów (jak Długosz), nie przypomina w niczem ani dawnego Związku Ludowego, który działał w Królestwie w latach 1905—1907, ani dzisiejszego ruchu zaraniarskiego. Ludowcy galicyjscy nie myślą się ograniczać, jak zaraniarze, do pracy kulturalno-gospodarczej, dążąc, w przeciwstawieniu do tamtych, do władzy politycznej, ani też nie opierają się, jak ci, co swego czasu wydawali „Życie gromadzkie“, na rewolucyjnych pierwiastkach, drzemających w ludzie. Ludowcy—to stronnictwo chłopskich demagogów, prowadzące politykę chłopskich interesów, bez względu na to, czy



ten chłop—to ubogi komornik, czy bogaty gospodarz. Ten ostatni w oczach Stapińskiego miał bodaj że największą wagę. Wyśługiwanie się interesom chłopskim, bez względu na to, czy zaspokojenie tych chwilowych nieraz interesów znajdzie się w zgodzie z dążeniami rozwojowymi Galicji do lepszej przyszłości, zaprowadzało Stapińskiego nieraz bardzo daleko.

W latach 1908—1909 zaczął on głosić teorię, że interesy miasta sprzeciwiają się radykalnie interesom wsi, te zaś ostatnie wytwarzają łączność między wszystkimi mieszkańcami wsi, tak że w gruncie rzeczy między interesami „małego rolnika“ i „wielkiego rolnika“ wytwarza się doskonała harmonja. Ze ten wielki rolnik—to obszarnik galicyjski, niezwykle uprzywilejowany, a mało produkcyjny, o tem zdawał się nie pamiętać Stapiński w swym zapale do jednoczenia wszystkich mieszkańców wsi.

Nie zawsze Stapiński stawał na takim stanowisku, jak wówczas. Początkowa historia stronnictwa ludowego — to dzieje bezustannej walki radykalnych agitatorów z klerem, starostą, obszarnikiem. „Jaś“ Stapiński był pierwszym człowiekiem, który budził w ludzie uświadomienie, który wzywał go, aby nie głosował na „panów“ i nie pozwalał duchowieństwu nadużywać ambony do polityki. Walka była zacięta; Stapiński pomimo nędzy, jaka go nieraz trapiła, uświadamiał włościan i organizował, aż wreszcie odniósł zwycięstwo, mimo klątw i zakazów kościelnych, mimo okólników starościńskich i przeciwdziałania zjednoczonej reakcji. Dźwignął on własnymi siłami stronnictwo ludowe, które stanęło zrazu poza obrębem Koła polskiego, ale to właśnie dawało mu siłę i niezależność.

W porównaniu do tego pierwszego okresu rozwoju stronnictwa, lata 1908—1910 były latami rozwoju ilościowego stronnictwa, ale zarazem jego upadku idejowego. Sojusz ze stańczykami, jaki zawarł Stapiński w r. 1908 w czasie wyborów do Sejmu, w myśl swej nowej teorii o „wspólności interesów wiejskich“ (wbrew miejskim, reprezentowanym wówczas przez połączone ze sobą chwilowym sojuszem demokrację narodową oraz mieszczańską), wzmocnił jeszcze bardziej potęgę stronnictwa ludowego. Jego przewodcy zaczęli się stawać „ministerialfähig“ i ludowcy nie tylko weszli do Koła, lecz zaczęli w nim ważną rolę odgrywać.

Wtedy to zaczęły napływać do stronnictwa nowe żywioły, których nie widać było wtedy, gdy ludowcy o swą egzystencję prowadzić musieli żmudną walkę. Przyszli oni teraz do gotowego: czekały na nich mandaty, posady, urzędy, ba — nawet teki ministerjalne. Hr. Lasocki, szambelan papieski, hr. Rej — ludzie, których same nazwiska zdają się przeczyć dążnościom do wszechwładztwa ludowego, wreszcie Długosz, przemysłowiec, zubożony na borysławskiej nafcie, którego nietyle głowa, ile wyjątkowe szczęście wysunęło na czoło — wszystko to nowe typy „ludowców“, które pojawiły się na powierzchni życia politycznego w Galicji. Z takimi to żywiołami wypadło teraz pracować Stapińskiemu, temu niegdyś trybunowi ludu na modłę jakobińską, który mówił, że nie będzie spokoju w Galicji, dopóki „bruk się nie pokryje szlacheckimi czaszkami“.

Zwrot Stapińskiego na prawo wywołał niezadowolone w szerokich kołach stronnictwa. Skorzysła z tego fermentu ambitne jednostki i wy-

tworzyły nową partję, pod nazwą „frondy ludowej“. Ale te jednostki jak Dąbski, nie umiały stanąć na wysokości zadania, gdyż kierowała nimi tylko niezdrowa ambicja, nie zaś umiłowanie sprawy ludowej. Dąbski nie umiał wrócić na to stanowisko, z którego zeszedł Stapiński. Osobista nienawiść do dawnego wodza pchały go i jego stronników coraz bardziej w stronę żywiołów endeckich. Najlepszym tego dowodem kierunek „Kurjera Lwowskiego“, organu sympatyków frondy Dąbskiego.

Sojusz Stapińskiego ze stańczykami nie trwał jednak długo. Stapiński rozumiał, że stańczycy nie mają przed sobą przyszłości, że najbliższa reforma wyborcza, która przecież kiedyś nastąpić będzie musiała, usunie raz na zawsze dotychczasową hegemonię konserwatywnego stronnictwa. Stanawszy zaś dzięki poparciu stańczyków (którzy po raz pierwszy przy wyborach sejmowych 1908 roku wydali starostom rozporządzenie, aby nie utracano sztuczkami wyborczymi kandydatów ludowców) na mocnym gruncie, uznał Stapiński, że teraz może się obejść bez sztucznej podpory, i rozpoczął prowadzić politykę samodzielną. Polityka ta wymagała pewnego zwrotu na lewo, zwłaszcza że pojawienie się na terytorjum wsi galicyjskiej narodowych demokratów i sprzymierzonych z nimi grup klerikalnych pchało Stapińskiego w kierunku radykalizmu z nieubłaganą koniecznością. Nastąpił więc nowy trzeci okres w dziejach stronnictwa ludowego, który teraz w przededniu reformy wyborczej, doprowadził je do kryzysu.

Do przyspieszenia kryzysu, którego dziś jesteśmy świadkiem, przyczyniła się krecia i podstępna działalność sprzymierzonych ze sobą narodowych oraz chrześcijańskich demokratów. Dwie te organizacje, zjednoczywszy się pod nazwą „Związku chrześcijańsko-ludowego“, odniosły przy ostatnich wyborach do Sejmu w lipcu dość znaczny sukces, zdobywszy kilkanaście mandatów. Do zwycięstwa tego w znacznej mierze dopomógł list pasterski biskupów, występujący przeciw radykalizmowi wogóle, a przeciw ludowcom w szczególności. Tego zwycięstwa było jednak za mało zjednoczonej koalicji; chodziło jej o trwałe zapanowanie nad umysłami ludu wiejskiego, a ten cel dawał się osiągnąć jedynie przez rozbitcie stronnictwa ludowego, posiadającego dotąd na wsi niejako monopol wpływu. Przystąpiono więc do rozbijania stronnictwa od wewnątrz, i cel ten, po długich, ale wytrwałych przygotowaniach wreszcie osiągnięto.

W stronnictwie ludowym nie było już cementu, któryby spajał poszczególne jego części. Kiedyś osoba Stapińskiego, który był duszą partji, jednoczyła wszystkich. Teraz przedostanie się do stronnictwa nowych żywiołów, bardzo różnolitych, a z dawną ideologją partji słabo związanych; żywiołów, które o tyle tylko były gotowe należeć do stronnictwa, o ile ono zacierало swe kanty i skłaniało się do kompromisów, czy to z rządem, czy z klerem, czy z każdorazową większością Koła polskiego, — musiało doprowadzić do katastrofy.

Nie należy oczywiście otaczać Stapińskiego aureolą. Jest to typowy demagog, nie bawiący się w skrupuły w sprawach politycznych, który dla interesów chwilowych (powiedzmy nawet: często-kroć osobistych) gotów poświęcić zasady. Stapiński niewątpliwie nadużył często wpływów politycz-



nych, jakie posiadał, dla prowadzenia spraw, które ani z interesem stronnictwa w szczególności, ani z interesem ludu polskiego wogóle nie mają nic wspólnego (dowodem sprawy „Wisły“, wreszcie głośna afera z „Canadian Pacific“). Ale przyznać mu musimy, że był zawsze związany z ludem i nie tracił kontaktu z jego instynktami i odczuwaniami, że nie sprzedawał się, jak inni politycy galicyjscy, przechodzący kolejno przez wszystkie partje; że nawet wtedy, gdy łączył się ze stańczykami, myślał przede wszystkim o tem, aby ich wyzyskać, nigdy zaś nie chciał zaprzedać chłopu galicyjskiego w służbę interesom galicyjskiej „konserwy“.

To też bez względu na to, jaki sąd wypadnie o Stapińskim, jako o polityku i człowieku, stwierdzić należy, że w tym sporze o władzę w stronnictwie ludowym, jaki się w tej chwili rozgrywa, wszelkie sympatje żywiołów szczerze demokratycznych i postępowych w Galicji stoją po jego stronie.

Przeciwnicy wysuwają przeciw Stapińskiemu cały szereg osobistych zarzutów, których zbadanie jest sprawą komisji, jak to, że brał pieniądze od Stürgkha, że godził się na projekt reformy wyborczej Bobrzyńskiego i t. d. Ale nie w tem leży istota rzeczy. Ludowcy-miljonerzy, jak Długosz, ludowcy-hrabiowie, jak Rej i Lasocki, którzy dziś występują przeciw człowiekowi, przez wiele lat znoszącemu niegdyś głód i nędzę, mają mu istotnie coś innego do zarzucenia, a mianowicie ostatni jego zwrot polityczny. W czasie ostatniego przesilenia Stapiński nie poszedł śladem Stojałowskiego, który miał stać na usługach obcego mocarstwa, lecz zbliżył się do żywiołów irredentystycznych, biorąc się do organizowania obrony ludu galicyjskiego przed grożącym zalewem obcych wojsk. Ta jego polityka zewnętrzna pobudziła podobnie i narodowych demokratów do wypowiedzenia mu w krytycznej chwili walki na śmierć i życie, polityka zaś wewnętrzna wywołała rozłam wewnątrz stronnictwa, rozłam, niewątpliwie również z zewnątrz inspirowany.

Sprawa rozłamu jeszcze nie zdecydowana. Zmuszenie Stapińskiego do ustąpienia ze stanowiska wiceprezesa Koła polskiego, które zajmował z ramienia parlamentarnej frakcji ludowców, oraz ze stanowiska prezesa parlamentarnej frakcji—bynajmniej nie przesądza przyszłości, gdyż między frakcją a stronnictwami w wielu krajach istnieje głęboka scysja, a dopiero stanowisko samej partji bywa decydujące. Więc i w danym wypadku mówić o upadku Stapińskiego, jako polityka, byłoby przedwcześnie, dopóki sprawy rozłamu nie rozstrzygnie Rada Naczelna, a następnie pełny Zjazd stronnictwa. Rada Naczelna, która odbyła się w Rzeszowie 13 i 14 b. m., dała możność skonstatowania, że większość stronnictwa stoi po stronie Stapińskiego, z czego pierwsza strona, wraz z ministrem Długoszem, musi wyciągnąć konsekwencje.

Bez względu na to, jakim torem sprawa się dalej potoczy, zgodzić się musimy, że konflikt, który ma charakter zasadniczy, pomimo pozorów ambicji osobistych, posiada duże znaczenie dla życia politycznego Galicji. Ze sposobu, w jaki konflikt zostanie rozwiązany, można będzie wyciągnąć odpowiedź na pytanie, czy jest miejsce na chłopiskie stronnictwo radykalne w Galicji?

I. Krzesławski.

## „MILES GLORIOSUS“.

Od sześciu tygodni świat polityki europejskiej zajmuje się intensywniej znowu Alzacją. Opinia niemiecka, o ile jest reprezentowana w parlamencie berlińskim, wypowiedziała się bez zastrzeżeń przeciwko porządkom, panującym w Alzacji. Parlament posunął swoją niechęć dla tych rządów, swój radykalizm polityczny aż do uchwały, w której odmówił zaufania kanclerzowi Rzeszy, krok, co prawda, zgola dla życia kanclerza i polityki cesarskiej nie groźny. Daleko, bowiem jeszcze Niemcom do rządów parlamentarnych, do odpowiedzialności ministrów przed parlamentem. Jak dotąd, ministrowie odpowiedzialni są przed cesarzem, który ich do woli wybiera i odsyła, podnosi i obala, zwołuje i rozpędza. Jeżeli p. Bethmann-Hollweg, istotnie, pójdzie za przykładem księcia Bülowa w stan spoczynku, stanie się nie dlatego, że tak chciał parlament, ale poprostu dlatego, że jego „pan“ uznaje ponoć, iż intendent źle go broni przed parlamentem... Mówią, bowiem w Niemczech oddawna o zamierzonej dymisji Bethmana. Wymieniają nawet jego następców. Ale w żadnym to nie jest związku przyczynowym — z uchwałami parlamentu Rzeszy.

Mizerny oficerek należący do garnizonu Saverne'y w Alzacji, młokos, zaledwie dwadzieścia lat liczący, pewnego dnia, 5 listopada obraził alzackich, lud alzacki, pouczając rekrutów, że gdyby ich w „tym kraju“ kto zaczął, niechaj się bronią, niechaj strzelają. „Za każdego *wackes* a\*) zabitego dostaniesz odemnie dziesięć marek“. A obecny przy tem podoficer dodał: „a od siebie dodam jeszcze trzy marki“... Ta rozmowa powiedziana publicznie, kolportowana przez żołnierzy alzackich odbywających służbę swoją w Saverne, przedostała się nazewnątrz. Dziennik katolicki, wychodzący w Strasburgu *Der Elsaesser* podał o niej wiadomość i napiętnował zachowanie się oficera niejakiego von Forstnera. Generalicja w Strasburgu zaprotestowała. Wtedy gazeta ogłosiła zeznanie, podpisane przez żołnierza, alzaczycy, świadka sceny. Żołnierza, oczywiście, aresztowano, wraz z kilku kolegami, również alzaczycami pod zarzutem niesubordynacji, wydawania tajemnic służbowych i po kilkunastu dniach więzienia śledczego, skazano na kilkutygodniowe więzienie. Ale samą sprawą zajęła się opinja.

Nasamprzód *opinia alzacka*, która za pośrednictwem wszystkich swoich organów, podniosła straszne larum. Liberali i katolicy, nacjonałiści i socjaliści bez różnicy kierunku i wyznania zaczęli odwoływać się do opinji świata: patrzcie, co ci zdobywcy, ci prawnukowie Attyli, chełpiący się cywilizacją swoją—wyprawiają u nas! ależ odtąd przezwisko *wackes* nie będzie więcej hańbą, sromotą, stygmatem, będzie zaszczytem. My wszyscy jesteśmy odtąd—*wackes*!..“ I kiedy w parę tygodni później adwokat strasburski Helmer miał wygłosić w Paryżu odczyt w serji *Conferences Alza-*

\*) *Wackes* w dialekcie alzackim oznacza tyle co łobuz, hultaj, włóczęga, cygan (wywodzą tem wyraz od *vagabond*) Niemcy wzgardliwie nazywają tem imieniem alzaczyców wogóle. Z powodu częstych awantur na tem tle, władze przestrzegają, aby wyrazu tego nie używać i każdy oficer obowiązany jest piśmiennie przestrzegać, aby żołnierze tego przezwiska nie używali.



ciennes, bardzo uczęszczanych przez alzatzyków, zamieszkałych w Paryżu—przewodniczący zakończył swoją mowę powitalną: Witamy w Panu *un wacke...* Zawieź ukłony *wackes'om* z tamtej strony Wogezów od *wackesów* tutaj obecnych.

Saverne jest małym miasteczkiem. Obraża, rzucona przez zarozumiałego prusaka na lud alzacki stała się prędko wiadomą. Ludzie zbierali się na ulicach. Alzatzycy nie są wybuchowi. Są przeważnie bardzo ostrożni, zamknięci, mało dostępni. Nie poddają się odruchom. Są też pełni humoru, bez litości. Tłumnie chodzili za lejtnantem, śmiejąc się z głupca. Gdy przechodził, wychodzili ze sklepików, stawali na ulicach. Forstner stał się pośmiewiskiem miasta. Ze wsi okolicznych napływały tłumy, aby oglądać bohatera. Sława Forstnera stawała się zbyt wielką. Ciało oficerskie zaczęło reagować. Szlachetnym wiedzione instynktem wystąpiło z denuncjacją ludności alzackiej. „Jeżeli nie dacie nam pełnomocnictw większych, nie ręczymy za spokój w mieście. Jutro będą strzelać do nas...” Cóż łatwiejszego jak zaprowadzić stan oblężenia w zabranym kraju, w kraju niewoli? Zaprowadzono tedy stan wojenny na własną rękę, bez wiedzy władzy strasburskiej. I pewnego wieczoru aresztowano całą gromadę spokojnych obywateli, których sędzia nazajutrz kazał uwolnić. W odpowiedzi na to, oficerowie aresztowali cały trybunał z prokuratorem na czele w chwili, gdy z sądu wychodził na ulicę..

Władze autonomiczne w Strasburgu z namiestnikiem hrabią Wedel'em i sekretarzem stanu Zorn von Bulachem na czele wystraszone tą uzurpacją władzy, zawieszeniem konstytucji bez ich wiedzy i woli, odwołały się do cesarza i do Berlina.

W Berlinie już i bez tego było gorąco. Zaledwie zebrał się parlament po ferjach jesiennych, już cały szereg interpelacji spoczywał na stole prezydjalnym. Wszystkie stronnictwa żądały rachunku od kanclerza. „Czy wie o tem, co się dzieje w Alzacji? Czy tam obowiązuje jeszcze konstytucja nadana w roku 1911, czy też została już zawieszona? jeżeli tak — przez kogo, na jakiej zasadzie? Czy Forstner został ukarany i jego bezpośrednia władza w Saverne i w Strasburgu?” Interpelacje bywają wyjaśniane. I oto posypały się mowy. Jedna od drugiej ostrzejsza. Partje licytowały się w radykalizmie, obnażając wszystkie rany konstytucjonalizmu prusko-niemieckiego. Kto rządzi Niemcami? Czy obowiązuje tu konstytucja i prawo, czy też dyktatura żołdactwa i gabinetu wojskowego Cesarza? Gdzie jest Cesarz? Dlaczego Forstner nie został ukarany? Dlaczego nie zostali ukarani, ci wszyscy, którzy zamiast go ukarać, zdegradować, wypędzić z armji, zakrywali go swoim autorytetem, pułkownik Rentter, generał Deimling?”

Odpowiedź ministra wojny była prowokacją. Opowiadał, iż jest to sprawa czysto wojskowa. Że śledztwo nie zostało jeszcze ukończzone. Że żołnierze byli winni niedyskrecji i że za to powinni być ukarani. Że parlament nie powinien wtrącać się do spraw, które go nie obchodzą.

Kanclerz dolał jeszcze oliwy do ognia, zasłaniając ministra. Sprawy armji, to prerogatywa cesarza, zastrzeżona przez konstytucję i on jej bronić nie przestanie. Nic parlamentowi do tego. Jeżeli władze wojskowe popełniły w Saverne tę czy inną niewłaściwość, zostaną ukarane. Należy

jednak pamiętać, że warunki, w których oficerowie pracują w Alzacji są zgoła osobliwe i to trzeba brać pod uwagę, gdy się sądzi poszczególne czyny.

Odpowiedź Kanclerza wyzwoliła w organizmie parlamentarnym maximum energii rewolucyjnej, na jaką się zdobyć mogło dotychczas ciało prawodawcze niemieckie. Powstał zgłęb nieopisany. Wymyślano kanclerzowi, obrzucano błotem cesarza. Socjaliści wypędzali „won“ kanclerza (*Naus*). Gwizdano, jak w Wiedniu na premierze obstrukcyjnej. Parlament nie dał się zagłuszyć, nie dał się też ułagodzić i obrzymia większość — wszystkimi głosami przeciwko głosom skrajnej prawicy oświadczył, iż kanclerz nie posiada więcej zaufania parlamentu. Powtórzyła się tedy scena z r. 1908, kiedy to cesarz miał przyrzec Bülowowi, że będzie oględniejszy w wypowiedaniu się na zewnątrz... Był to pierwszy atak parlamentu do fortecy przywilejów absolutystycznych, zawrunkowanych przez przestarzałą konstytucję pruską, przeobrażoną w roku 1871 w konstytucję Rzeszy Niemieckiej. Listopad 1913 r. był drugim aktem tego oblężenia powszechnego. Kiedyż wreszcie drzeć poczną mury Jerycho, aby zapaść się i otworzyć przed narodem niemieckim perspektywę rządów parlamentarnych, rzeczywiście wolnych, perspektywę bytowania politycznego obywateli a nie poddanych..

Kanclerz został wezwany do cesarza, który jak w roku 1908 polował w Donaueschingen u księcia Fürstenberga (też kandydata na urząd kanclerza). Kanclerz zastał tam namiestnika Alzacji-Lotaryngji i naczelnego generała Alzacji Deimlinga. Cesarz ponoć gniewał się na generała a namiestnikowi przyrzekł, iż konstytucja nie będzie naruszona. Garnizon Saverne za karę został przeniesiony do obozu w pole (ku niezadowoleniu kupców Saverne!), Forstner ma być wydalony z armji. Te środki mają spowodować uspokojeniu namiętności w Alzacji i dać zadośćuczynienie obrażonej godności narodowej alzatzyków.

Drobny ten (na obrazie świata) wypadek posiada moralność niemałą. Wykazał tym, którzy o tem nie wiedzieli, albo nie słyszeli,—że istnieje samopoczucie narodowe alzackie. Że istnieje opinja alzacka, która nie chce słyszeć o wcieleniu się do Niemiec. Że alzatzyk jest człowiekiem wolnym, że chce być sobą, że nie chce być poddanym. Że drwi sobie z władzy wojskowej, z majestatu pikielhauby od Boga nastawionej.

Français ne puis,  
Allemand ne daigne,  
Alsacien suis.

Tak trawestując zawołanie herbowe Rohanów, mówią o sobie alzatzycy.

Na to wskazując, odchodzimy od właściwego tematu artykułu niniejszego. Mielśmy opowiedzieć *co się stało w Saverne?* a widzimy, że zaczynamy mówić o tem, co się dzieje w Alzacji, co to są alzatzycy, jak im się dzieje, jaka ich psychologia. O tem wszystkim można mówić wiele. Są to bardzo, w szczególności dla nas, bardzo ciekawe sprawy. Ale tu chodzi o Saverne, Owóż są drobne napozór wypadki, w których jak w kropli rosy odzwierciadla zda się świat cały złożonych stosunków. Złożony jest świat alzacki. Wpływy niemieckie, francuskie, samoistność alzacka; niewola; sympatje, antypatje; zaborca niemiecki głupi i bezczelny;



tu wszystkie wpływy, niby linje, przecinają się wzajem w tym punkciku drobnym jak plwocina muchy, który nazywa się lejtendant von Forstner. Świat olbrzymi stosunków, sprzeczności, walki, który ten punkcik otacza niby wielka bryła mgławicowa. Na tej mgławicy błyszczy jako jądro żywe i skończone: pragnienie wolności.

Stanisław Posner.

## Ciennie drogi kobiecej.

Nie zaścieniały jej nigdy same kwiaty, nawet gdy niewiasta szła biernie wąskimi skrętami ścieżki, którą wyginał lub prostował, gwoli swym chęciom, pan stworzenia. Co przeżywały pierwsze bojowniczkę o drogi szersze i niezależniejsze—to, w pewnej mierze, ogółowi jest już wiadomo, jakkolwiek za wiele kobiet zniosło w milczeniu, i trudy, i nędzę, i szyderstwo, i potwarz ścigające je w mozolnej orce godniejszych niw życiowych.

Zdawałoby się, że dzieje te należą już do przeszłości... Nie, raz poraz wypływa fakt jakiś, przyszojniej może odziany od dawnych brutalnych antifeministycznych wybryków, ale w treści swej zacofany i dziki. O taki chodzi w niniejszej notatce.

Ciekawi roli kobiety w ruchu naukowym, spotkali się pewnie z nazwiskiem Anny Croiset van der Kop, holenderki rodem, sławistki z wykształcenia, rozmiłowanej w przedmiocie swych studjów, łączącej erudycję z gorącym odczuciem i szerokim rozumieniem wszystkiego, co w tej ulubionej słowiańszczyźnie cierpi lub krzywdzi, błądzi, walczy lub się odradza.

Już rozprawa doktorska p. Croiset van der Kop w uniwersytecie Berlińskim, obroniona 27 lipca 1907 r., zwróciła na nią uwagę sławistów.

Tytuł jej brzmi nie obco dla ucha polskiego: „De Morte Prologus“ — pierwsza z szeregu prac, zamierzonych przez autorkę, a objętych ogólną rubryką „Altrussische Uebersetzungen aus dem Polnischen“. Odtąd P. Croiset v. der Kop, studjuje stare zabytki piśmiennictwa polskiego i rosyjskiego, nie tylko po bibliotekach i archiwach stolic. Umie ona dotrzeć do księgozbiorów prywatnych, domów pańskich polskich i rosyjskich, a nawet do niedostępnych prawie, zwłaszcza dla kobiety, foljów drzemających po zakątkach monasterów Cesarstwa lub akademji duchownych.

Widziały ją także przelotnie, biblioteki wileńskie, do których ma jeszcze wrócić do ulubionych staropolskich druków i rękopisów. Owocem tych badań były prace drukowane w czasopiśmie polskich, niemieckich, holenderskich i rosyjskich: jak Pamiętnik Literacki, Archiv für slavische philologie, Żurnał minist. narodn. prosw., Izwiestja otdzielenja ruskago jazyka i słowiestnosti i t. d., od 1909—1913 roku.

Z naszych zabytków, panna Croiset wydała z rękopisów petersburskiej biblioteki publicznej „Dawne Pieśń Polskie“ („Pokłosie z rękopisów petersburskich“, Pamiętnik Literacki, 1913). Po niemiecku wyszedł komentarz do pracy bibliograficznej Józefa Korzeniowskiego „Zapiski z Rękopisów Cesarskiej Biblioteki publicznej w Peters-

burgu i innych bibliotek petersburskich“, oraz pracowite dopełnienie tego dzieła. (Archiv für slavische Philologie, 1913). Towarzystwo „Lubitelnej drewniej piśmiennosti“ drukuje obecnie przekład p. Croiset „Postępuku prawa Czartowskiego“, zabytku polskiego z XVII w. wystudjowanego z 14 rękopisów. Poszukiwania dotyczące się dzieła „Czwartak“ już są na ukończeniu. Prócz tego, uczona holenderka posiada mozolnie zgromadzone cenne materiały do studjów naukowych nad innymi zabytkami piśmiennictwa naszego z XVI i XVII w., jako też nad jego stosunkiem do ówczesnej twórczości dalszej braci słowiańskiej.

Uczeni nasi: Prof. Brückner z Berlina i St. Ptaszycki z Petersburga; Prof. V. Jagicz z Wiednia; sławiści rosyjscy: F. Fortunatow i Szachmatow, ocenili wybitne zdolności p. Croiset, nie szczędząc zachęty, ułatwiając dostęp do źródeł.

Obok czysto erudycyjnej pracy, gorąca sławistka, przeprowadziła agitację wśród fakultetów swego kraju, by uznały pożyteczność katedry słowiańskiej w Holandji, a u jej rządu, by takową odpowiednio uposażył. Wertować foljały nad Bałtykiem lub Wołgą, na Litwie lub Ukrainie, przerzucać się nad Atlantyk, docierać do profesorów, ministrów, królowej—to przeżyć trudy i niepokoje, dla nowożytnych nerwów — nieznośne.

Oplącały się jednak. Katedra filologii słowiańskiej w Leydzie została zatwierdzona w lipcu 1913 r. Nikt ze znających stosunki, a zwłaszcza uczeni sławiści, nie wątpili, że jedynym poważnym kandydatem do tej katedry jest p. Croiset van der Kop. Nie wątpił i sam fakultet. O spółzawodnika dla osoby znającej i sam rozległy przedmiot i ludy, na których żywo cie kulturalnym i duchowym ta nauka urosła—było trudno. Ale przyjąć w swe szeregach kobietę?.. To musiało być nad siły pewnych wpływowych w fakultecie Leydejskim konserwatystów.

I stała się w mądrej Holandji rzecz niepospolicie niemądra: zredukowano katedrę słowiańską do czegoś ułamkowego. Stworzono katedrę balto-słowiańską i oddano ją komuś, oczywiście mężczyźnie, może kompetentnemu w tym „balcie“, ale w nauce, sławistom nieznanemu.

Na nieużyteczność takiej placówki naukowej, oraz na cały przebieg sprawy nowej katedry Leydejskiej, rzuci najlepsze światło artykuł prof. Aleksandra Brücknera, którego zasług dla piśmiennictwa polskiego przypominać chyba nie trzeba, a o którego kompetencji w odnośnej gałęzi wiedzy, dwu zdań niema. Artykuł p. t. „Der neue Lehrstuhl für Slavistik an der universität Leiden“, wyszedł w miesięczniku holenderskim „Stemmen des Tyds“ (Głosy czasu) i wnet był przedrukowany w wielu dziennikach tamiecznych. Ma się też ukazać w przyszłym N-rze „Archiv für slavische Philologie“. Ze tej miary uczony nie lekceważy kobiety, to pocieszający dowód, że nie wszyscy profesorowie mężczyźni będą woleli zepsuć samą arenę, byle na niej nie pracowała kobieta.

Otwarcie nowej katedry odbyło się 8 października, orędziem inauguracyjnym p. t. „Zadania balto-słowiańskie“, przedstawiającem się dość mętnie. Ten pierwszy występ nie odsłonił też programu ani dał oczekiwanego zestawienia języków bałtyckich ze słowiańskimi. Pytanie, czy tak one, jak słuchacze odniosą jakie korzyści z placówki wykołatanej przez dzielną kobietę, pozostaje otwarte.



Tymczasem P. Croiset van der Kop wychyla gorzki kielich rozczarowania od własnych rodaków, których miała za kwiat postępu. Ale zbyt ukochała wiedzę, by w niej nie znalazła ukojenia.

Obecnie została wydelegowana przez Petersburską Akademię Nauk, do Holandji, dla badań archiwalnych. Znalazła już w Leydzie, Utrechcie i Amsterdamie rękopisy słowiańskie, między innymi — polskie. Z ciekawszych dokona zdjęć fotograficznych.

Nie pierwszy to przykład wytrwałości kobiecej w pracy żmudnej, a naukowej. Nie mówiąc już o europejskiej sławie p. Curie-Skłodowskiej, i Wilno może się poszczycić głośniejszymi nazwiskami kobietami. Wdzięczni byłibyśmy kompetentnemu sprawozdawcy, któryby nas zapoznał z pismami np. p. Zofji Gruzewskiej, pracującej od lat kilkunastu w Laboratorium Fizjologicznym Sorbony w Paryżu. Jej rozprawki i sprawozdania z dziedziny doświadczeń chemicznych, ukazywały się w odnośnych pismach francuskich, niemieckich i „Chemiku Polskim“.

Że muszą być rzeczywiście wartościowe — świadczy fakt, że kilkakrotnie już je odznaczono nagrodami i zaszczytnymi wzmiankami w naukowej prasie francuskiej. Pisząca te słowa widziała własnoręczny list pewnego francuza, uznający p. Gruzewską za powagę „pierwszorzędną“ w tej gałęzi chemji.

T. Zakrzewska.

## Krok naprzód.

Traf zrządził, że wierszem najlepszym z... dwustu kilkudziesięciu utworów poetyckich „o Poniatowskim“ nadesłanych na konkurs „Tygodnika Ilustrowanego“ był wiersz młodego poety, p. Zdzisława Kleszczyńskiego, autora wydanego w Wilnie miesiący temu kilka, zbioru poezji p. t. „Pogrzeb lalki“, a do niedawna jeszcze zasilającego sprawozdaniami teatralnymi „Przeгляд Wileński“. Ta prezentacja, mniemam, wystarczy — „po tamtej stronie Wisły“. Po tej stronie Wisły, to jest, tu, w Warszawie, gdy pisma poranne rozniosły wiadomość o otrzymaniu przez Zdzisława Kleszczyńskiego pierwszej nagrody konkursowej, ten i ów, popijając kawę, stwierdził apodyktycznie:

— Aha!.. Nowy poeta.

I jał pochłaniać niewiedzieć już które z rzędu sprawozdanie — z procesu Ronikiera.

Znacznie zaś mniej jeszcze niż przyznanie konkursowej nagrody „nieznanemu“ poecie podziałała na wrażliwość Warszawy — erupcja iście wulkaniczna aż dwustu kilkudziesięciu wierszy poświęconych — na obstalunek! — księciu Józefowi z racji... obchodzenia akurat w roku bieżącym stułetniego jubileuszu tragicznego zgonu bohaterskiego wodza.

O warszawska pasjo aktualności! O warszawskie ty, bezpamiętne jubileuszowanie!

Mniejsza jednak o specyficznie warszawskie „światopoglądy“ i nastroje. Dobrze się stało, że połączone z odpowiednim rozgłosem (wizerunek „laureata“ w ilustracjach biograficzne „dane“ i t. p.) otrzymanie pierwszej nagrody konkursowej utoruje drogę do naszego publicznego forum, to

znaczy do czasopism naszych: *prawdziwemu talentowi*. Najtrudniej u nas — dostać się na arenę. Patent „laureata“ otworzył ją p. Kleszczyńskiemu. Nic mu już teraz nie staje na przeszkodzie dla zajęcia w piśmiennictwie rodzimem choćby najwybitniejszego stanowiska...

A mamy do czynienia nietylko z prawdziwym, rzeczywistym talentem poetyckim, wyraźnie zarekomendowanym już w zbiorze „Pogrzeb lalki“; mamy do czynienia z oryginalną — do znacznego stopnia — fakturą tego talentu. Na czym ona polega? Wyrażę się może... wyszukanie, ale nie znajduję dosadniejszego określenia. W chwili obecnej uważałbym p. Kleszczyńskiego za przedstawiciela *puccinizmu* w poezji naszej. Jak maestro Giacomo Puccini nigdy nie wyczerpuje do dna melodji, frazesu muzycznego lub motywu, podobnie p. Kleszczyński kładzie jedne przy drugich jakby (barwne i migotliwe!) tylko strzępki, urywki idejowych, uczuciowych lub artystycznych motywów. Powstałe stąd często wiersz mieniący się prześlicznie, jednak zwichrzony, stargany, w który dobrze wsłuchać się lub wczytać trzeba, aby pochwylić... o co chodzi. A często-gęsto nic nie pomoże najgorliwsze wczytywanie się; nie pochwylić... o co poecie chodziło!

Powtórny rysem oryginalnym poezji autora „Pogrzebu lalki“ jest pewna — (znowu może wypadnie użyć nieoczekiwanego wyrazu) — „kabaretowość“ faktury nawet tych utworów, które traktować kabaretowo nie wiele komu przyszłoby do głowy. Kabaretowo w rozumieniu: *à la Willete*, *à la Xanrof*, *à la Jouy* (autor słynnej piosenki „La veuve“) *à la Mac-Nab*, Xavier Privas i t. d. jak się tam wszyscy dostojniejsi luminarze paryskiego Montmartre'u nazywali i nazywają. Prościutko przecie rodem z Montmartre'u jest np. „Szal Kolombiny“.

Po trzecie. Na ogólnem u nas tle „słowaczyny“, do dziś dnia nadającej ton przeważnie poezji polskiej spółczesnej, wcale oryginalnie odcinają się pokrewieństwa poezji Kleszczyńskiego z ultra-modernizmem francuskich liryków, różnych Merrill'ów i Mikhael'ów.

Czy dziw, że wiersz z godłem Gryf skoczył od razu do oczu sędziom konkursowym? Wyobraźmy sobie wiersz „o Księżciu Józefie“ zabarwiony, nawet wcale silnie, tonami i wizjami *à la Willete*, zaprawiony *puccinizmem*, o fakturze przypominającej żywo w niejednym zwrocie poetycki modernizm francuski. Prawda, że mistrz Willete potrafi malować z równą głębią gryzącego sentymentu pieroty, kolombiny i... napoleońskich wiarusów; ale nasza cała literacka tradycja o Poniatowskim łącznie ze świeżej daty utworami o nim np. największego księciojózefisty, Or-Ot'a płynnie wciąż i płynnie korytem wygodnej elegijności... „Śpiewów historycznych“. Owóż wiersz konkursowy Kleszczyńskiego ma — po za kilku wyśmienitami obrazami błyskawicznymi — niepospolity wdzięk zawadjacko-wyzywającej *nowości*. Ktoś wyraził się: „Ma — męskość!“ Złudzenie. Wiersz nie ma: ślamazarności i szablonowego patosu; tylko tyle.

Jest też w stosunku do „Pogrzebu lalki“ niepospolicie sporym krokiem — naprzód.

Gdyż myliłby się, tkoby sądził, że już w „Pogrzebie lalki“ tkwił „wielki poeta“ o którym tylko nie wiedziano, że istnieje, lub nie poznano się na nim, dopóki nie zagrzmiały fanfary warszaw-



skiego konkursu. Tak nie jest. Jest nawet w zbiorze „Pogrzeb lalki“ rys wręcz zatrważający, zważywszy na to, że ów zbiór poezji był debiutem. Jest: *style precieux*, styl wyszukany, do tego stopnia uciekający od „pospolitości“, że aż nastroszony gęsto zwrotami o bardzo wątpliwym — smaku. P. Kleszczyński wręcz jakby bał się mówić jasno i wyraźnie, aby strzeż Boże, nie sciągnąć na siebie pozorów: banalności. Stąd tu i owdzie, po całym zbiorze, utwory nieszczerze (przynajmniej takie wywierające wrażenie), przekunsztowane, widać jak kokieteryjnie muskane, i od tego cackania i przetasowywania wyrazów albo w całości niezrozumiałe, nieuchwytnie, albo rozplywające się w jakąś *pointe*ę piekielnie zawila. Np. wiersz „Dziecko“. Co ma znaczyć zakończenie: „w kwiecie ma swą duszę—dziecko!“? Albo zakończenie wierszu „Moc“; mówię o najostatniejszym czterowierszu. Albo ostatnia strofa — całego zbioru: „Rozjaśniony złożysz sam do snu głowę wypoczętą... prawda twa nie weźmieram, jeno prosty tytuł: Święto“. A *nb.* ów wiersz zamykający „Pogrzeb lalki“ jest już wyzwolony do wysokiego stopnia z rozmyślnego gonienia za — niepospolitością. Położyłbym też nacisk na *nieścisłość* wyrażania się, czyli na „puszczenie“ pewnych niedbalstw właśnie rażących pod piórem, jak widać, bardzo dbałem o nieskazitelną formę, i o efekty stylowe. Tak np. nie upija się nikt „Pommery“ ale chyba Pommerym lub „winem Pomerry“; „muszki“ na twarzy markizy nie mogą mieć żadnego podobieństwa do „pączków jej piersi“, gdyż historycznej pamięci *mouches* były — czarne; dla czego w wierszu „Z motywów greckich“ księżyc się „rozzalił“? Albo w wierszu „Jesienią“ stała się istna stylowa katastrofa w trzech ostatnich wierszach... Przepraszam za — pedantyzm, ale muszę jednak zwrócić uwagę na wiersz „Pytały się usta czerwone ust“. Okazowym jest dla nieoględności, z jaką młody poeta podaje za rzecz głęboką rzecz od przesubtelnienia tak pajęczynową, że jej prawie... niewiada.

I rytm szwankuje często. Chwilami chciałoby się mniemać, że p. Kleszczyński rozmyślnie dodaje wierszowi swemu chropowatości, aby nie był zbyt... banalnie gładki! (Np. „Da mi na pożegnanie lżę przeczystą“ w wierszu „Moc“; „Tym szalem uduśiła Kolombina“; ciągnęła zmiana rytmu w pierwszej strofie wiersza „Le regret“; brak wszelkiego rytmu od „gdzieby mój ból...“ do „pływaków“ w wierszu „Czarne łabędzie“ i t. p.).

Powie kto może: Drobiazgi! — Niestety, nie drobiazgi. Poezja bez doskonałej formy może sobie najspokojniej — nie istnieć. A w zakres formy wchodzi nie tylko użycie danego wyrazu, ale i położenie go na tem lub na owem miejscu; nie tylko tok rytmu, ale i — interpunkcja.

Jeżeli zaś tak na pozór pedantycznie „tropię“ po „Pogrzebie lalki“ wszelką chwiejność formy, to dlatego, aby — o ile to w mej mocy — dodać młodemu *talentowi* (podkreślam) bodźca do jeszcze pilniejszego i skrupulatniejszego zwracania uwagi na artystyczną nieskazitelność formy. Do hamowania skłonności ku stylowi *precieux*, ku wyszukanej groteskowości, ku przysyłaniu karkołomnymi skrótami rozczochranego wiersza istotnej banalności... treści, ku kabaretowym nonszalancjom a chociażby tylko — pozom.

Nie potrzebuje lękać się jasnego wyrażenia rzeczywistego polotu, nie potrzebuje szukać... po-

łudnia o czternastej godzinie, komu wyszły z pod pióra np. „Fryne“ lub „Zanim mi lotny wiatr pochwyli żagle“ (Drugi wiersz brzmiał by lepiej: „Nim się ze znanym i t. d.“) lub prawie cały drugi fragment „Wnętrz“ lub... Ale raczcie posłuchać sami:

Niewiem, jak przyszła — o której godzinie dnia — czyli w nocy — a może nie w czasie?  
Bywa tak czasem, że na białym pasie księżyc — cicho — ktoś srebrny przepłynie...

Przyszła. Nie znalazłem jej. Może łabędzie z bajki — przyniosły mi królową śpiącą?  
W uśmiechu rzekła mi prawdę tęskniącą, że była zawsze — i że zawsze będzie.

Dała mi ręce obie — półwyrazem zwrócona do mnie, cudowna i słodka...  
bywa, iż dwoje ludzi się napotka  
i — już bez słowa — pójdzie dalej razem.

Takeśmy poszli cisi, zamyśleni,  
wsluchani w siebie i w marzenia nasze,  
w czas, kiedy świata opalową czaszę  
rzeźbiły ręce pogodnej jesieni.

...Żegnaj się z tobą, Lalko, żegnaj idąc dalej po męską siłę i męską pogodę, która przyjdzie — wiem!

Tak pisał sam autor poezji, o których mowa. I my... pogrzebmy lalkę! Męska siła i męska pogoda — przyszły. W wierszu o księciu Józefie.

P. Kleszczyński ma prawo pędzić naprzód — nie oglądając się za siebie. To oglądanie się przyjdzie... kiedyś tam... kiedyś... Dziś naprzód! Nie pisząc „w regiestr“ tego, z czego się otrzęsło, co samo rozwiało się i znikło. Jak, nie wolna od fanfaronady, — *poza* młodociana.

A niechby jeszcze słońce dało istotnie „znać którądy płynie jaśń świetlista!“ Ach, mój Boże! Cóż za czarodziej, cóż za dobroczyńca — słońce! Komuż by na ziemskim padole nie życzyć — słońca!

Jeno, broń Boże, nie w intencji dawania rzeczywistemu poecie: rad co i jak pisać powinien, czyniąc mu wymówki *sub rosa*, że taką a nie inną... posiada organizację duchową! *Es ist bestimmt in Gottes Rath*, z góry już jest przesądzone w niezbadanych wyrokach: kto będzie pisał *à la* Horacy, kto *à la* Wiktor Hugo, a kto przenajbliższego pokrewieństwa z Hejnem ani rusz nie będzie mógł wyzbyć się, — choćby padli przed nimi na klęczki, błagając i zaklinając... krytycy całego świata.

Tak już jest.

Rezonans krytyki wobec dzieła sztuki ma dwa bieguny, a mianowicie: To piękne — to niepiękne! Ustaliwszy zaś jak się rzecz z tem ma, zabiera się krytyka do wielkiej, wielkiej księgi i w „Dziejach literatury“ zapisuje na „odpowiednim“ miejscu dane imię. *Ad aeternam memoriam*.

Dla autora „Pogrzebu lalki“ oraz wierszu o Poniatowskim już się miejsce robi w owej księdze.

Czesław Jankowski.

Warszawa.



JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

## Z księgi ciszy.

### Wyspa.

*Tak płynąc z biegiem fal, wyspę ujrzałem:  
Jak gniazdo wiosny wstała z rzecznej piany,  
Błyszcząc skał bielą i kaskad kryształem,  
Szczyt jej kwiatami ku słońcu podany  
Nęcił wśród nurtu wieczystych niesnasek,  
Bluszcze obwity jej srebrzyste tono,  
U stóp jej pętza złotym wężem piasek,  
A w koto błękit i przepaście zioną.*

*Tak dziewczę z konchy pian wynika wdziękiem,  
Zebrawszy światło z fal jak złote rybki;  
Włosy ją węzów obwinęły pękiem,  
W przeguby złote biorąc kształt jej gibki,  
Ramion i piersi lubieżne wygięcia  
Rzeźbią się w słońca płomiennym uśmiechu;  
W oczach dziecinnych słodycz wniebowzięcia,  
A usta drgają pożądaniem grzechu.*

### Dokoła sceny

Poruszano kiedyś na łamach „Przeglądu“ kwestję wpływu widowisk „Lutni“ na frekwencję publiczności wileńskiej w teatrze polskim. Recenzent słusznie zauważył, że „Lutnia“ w żadnym razie, wbrew twierdzeniom niektórych sceptyków, nie wytwarza konkurencji teatrowi, nie odciąga od niego publiczności. Przeciwnie, utrzymywał, że „Lutnia“, budząc zamilowanie wśród średniej a licznej sfery półinteligencji naszego miasta do widowisk scenicznych, oddać jeno może usługę teatrowi.

I dziś przypuszczać możemy, że jest tak a nie inaczej, że przeciętny widz „Lutni“, nie ten, który tam uczęszcza po to, by zobaczyć jak gra jego siostra, córka, narzeczona, czy choćby znajoma i rzadko przez kurtuazję a przeważnie w zupełnie dobrej wierze „kreacje“ jej oklaskiwać — lecz ten, który rzeczywiście ciekawy jest fabuły sztuki i idzie tam gwoili rozrywki, że takiemu widzowi po pewnym czasie widowiska „Lutni“ nie będą wystarczały i zapragnie on z większą prawdą oddanej gry, subtelniejszych złudzeń wzroku i słuchu, lepszej wystawy, piękniejszych kostjumów — jednym słowem tego, co dać może jedynie prawdziwy teatr.

I fakty zdawały się to potwierdzać. Tygodniowe widowiska „Lutni“ bywały przepelnione — lecz i „działówka“ grająca wówczas w cyrku nie miała powodu uskażać się na brak słuchaczy. Widywaliśmy przedstawienia tłumne, mniej liczne — pustek nigdy. Tanie, trzydziesto i czterdziesto kopiejkowe miejsca prawie stale bywały wyprzedane.

Dlaczego dzisiaj powiedzieć nie można tego

samego? Wszakże „Lutnia“ pod względem poziomu artystycznego swoich przedstawień na jotę się nie podniosła. Ta sama obsada, takie samo wykonanie, te same dekoracje. Z drugiej zaś strony teatr mamy zbudowany według wymagań techniki spóczesnej, repertuar nie lepszy, ale i nie gorszy niż w roku ubiegłym, trupę (poza Knake-Zawadzki i Arkawinówną) nie lepszą i nie gorszą od zeszłorocznej, a dyrektorem teatru, człowiekiem, który jako dziennikarz i literat daje chyba jaknajlepsze rękojmie... Premjery pełne, drugie przedstawienie... przewiewne, trzecie — puste.

Więc — dlaczego?

— Czy panna Naścia często bywa w teatrze?

— Na tanie przedstawienia popołudniu w niedzielę to chodzę, bo za 40 kop. wszystko widać w pierwszym rzędzie amfiteatru.

Raz byłam przyszedłszy codziennego dnia na galerję, ceny „byli“ zwyczajne — to za te same pieniądze na galerji nic nie widziałam. Stać trzeba, a godzin parę stać — nie chce się.

— Panie Piotrze, słysz pan, co wojewodzie teraz powiedział? a?

— Kiedy nie słyszę choć trąbkę z dłoni przy uchu zrobił...

— Do kogo starościanka teraz mówi a? kto tam wszedł?

— Kiedy kurtyna zasłania... mężczyzna jakiś... widzę buty i spodnie...

— O, a teraz głowę tylko widać ufryzowaną, balkon znów zakrywa...

— Nie widać, nie słychać... Et panie chodźmy do „Bronisławy“. Tam grają „Klucze szczęścia“...

— Była pani na „Wąsach i Peruce“?

— Nie.

— Ależ pani dobrodziejko, sztuka piękna, patryjotyczna, Korzeniewskiego poznać godzi się! Piękne kostjumy, pięknie grają. Bardzo miłutka Kopczevska a Lenartowicz, jako francuski fryzjer-dostawca! Uśmiejesz się pani dobrodziejka z niego do łez.

— Aj panie, ja wiem, ale piąć na tę górę tak nie chce się... Nie zawsze dorożkę dostać można a za każdym razem to także koszt... Zwoszczyk mniej trzydziestu kop. nie weźmie, jeszcze i za to nagrubjani.

— Kiedy, moja droga, niema muzyki w antraktach... Ja tak nie lubię! Żeby choć kwartet, zarazy było weselej. Smutno i ciemno, tylko ten nieznośny ekran z wieczną ohydą „Noblessą“ z Szumańskim, Januszewiczem, Kauiczem. Ach daj mi pokój, to mi działa na nerwy!

Moja pani. W cyrku nie tak trzeba było ubierać się. Tu zawsze teatr prawdziwy, to też i strojów większych wymaga, trudno... A ze strojami, jak to pani wie: to na teatr za paradne — to za skromne... Ot czysta bieda.

Ja, panie dobrodzieju jestem demokrata, lubię patrzeć na publiczność z galerji. Tam w cyrku



wszystko widziałem jak na dłoni panie dobrodzieju, i tych za przegradą takoz. A tu, panie dobrodzieju, głowę zadzieram z krzesel i nikogo nie widzę. Nawet ładnych kobiet w łóżach dojrzeć nie sposób. Byłem panie dobrodzieju dwa razy i dosyć.

— Ja wiem panie, że to nic wspólnego nie ma z teatrem w duchowym jego znaczeniu, że to absolutnie zależne od warunków technicznych, na które trudno poradzić. Jednak sam pan przyzna, że tam była łączność jakaś między parterem, lożą a amfiteatrem — tu zaś jej nie ma. A to wpływa ogromnie na nastrój widowni ożywiony, lub ponury. Tu parter jest jakimś sezamem zamkniętym dla balkonu i łóż i naodwrot; amfiteatr jest czemś zupełnie odległym i prawie mitycznym. Jakaś jakby klasyfikacja... brak kontaktu... No nieprawdaż?...

Dlaczego?

Może w tych urywkach podsłuchanych rozmów znajdziemy odpowiedź.

Dyrekcja dała nam w każdym razie piękną wystawę sztuk w dwu ubiegłych tygodniach. Palma pierwszeństwa pod tym względem należy się „Romantycznym“, Rostanda (wznowienie). Tę pełną jasnych, słonecznych refleksów perełkę w twórczości francuskiego dramaturga, podano w ładnej rokokowej oprawie, bardzo stylowej.

Piękne pod względem perspektywicznym i kolorystycznym dekoracje przynoszą zaszczyt p. Klopferowi. Ślicznym po podniesieniu kurtyny był obrazek dwojga młodych, przytulonych do siebie na historycznym murze. Wydawali się jakąś filigranową, bajeczną figurynką z serwskiej porcelany. Właściwy p. Czechowskiej wdzięk słowai giestu podkreślał jeszcze to złudzenie. P. Skąpski, abstrahując niezbędny zapał i werwę młodzieńczyka, posiadał jednak w sylwetce Percineta za mało z pudru i szminki osiemnastego wieku, za mało miękości linii, w swem facon d' être, co wytwarzało pewną kanciastość postaci tego przemiłego chłopca. Przytem ta dykcja nieopanowana, pozwalająca słyszeć głos... ale bez słów. Doskonałe typy dwóch ojców stworzyli p. Neubelt zawsze wykwinny w sposobie ujęcia roli i dzielny jego partner, inteligentny aktor p. Dębowicz.

„Miłość i Szpada“, komedia niemieckiego pióra, operującego dość szczęśliwie wśród francuzkiego towarzystwa, mającego jednak pewne cechy niemieckiej nudy i ociężałości dała nam garść wesółych wrażeń, okraszonych łezką niezbędnego u Niemca sentymentu. P.p. Mostowska, Bończa, Rommówna, p.p. Bryliński i Neubelt tworzyli tu zespół miły i harmonijny. Sensacją dla widowni była funkcjonująca na pokładzie jachtu „prawdziwa“ winda.

Wyprowadzone na scenę ciężkie działo Hauptmana „Święto pokoju“, z miążdzącym swą powagą tytułem i treścią denerwującą, Bogu ducha winnego widza, zmuszonego w ciągu czterech długich aktów przebywać wśród tak nieprzyjemnych ludzi — było mniej szczęśliwym pomysłem. Prawdopodobnie należy do *savoir vivre* u każdej szanującej się sceny dawać od czasu do czasu sztukę Hauptmana. Ta jest jedną ze słabszych i nudniej-

szych niemieckiego poety i może dlatego ludzie tak często myślą się mówiąc: „Święto pokoju“ Sudermana — przypomina bowiem jedną z ciężkich Sudermanowskich szkap. Teza: źle dobrane staćdo którego rezultat: liczna rodzina przypominająca prerażliwie rozstrojoną orkiestrę.

Pierwsze skrzypce w tej kakofonji trzymają p. Bartoszewska, bajeczna w swej naiwności i popolitości doktorowa, p. Dąbrowski świetny typ alkoholika, p. Żmijewska bez zarzutu w roli zgryźliwej starej panny i p. Orliński zawsze zra-stający się nerwami z odtwarzaną postacią.

P. Biernacki (Wilhelm) wyobrażał sobie może, że jest synem, zdolnym pod wpływem oburzenia, znieważyc czynnie rodzzonego ojca, lub młodzieńcem zdolnym rozkochać w sobie śliczną i dobrą Idę (p. Czechowska). Widz co prawda tego złudzenia nie miał.

Na zakończenie wspomnę o „Wąsach i Peruce“ milej kontuszowej komedji Korzeniowskiego, która barwnością i stylowością strojów, staropolskim humorem, oraz szlachetną tendencją wzbudzała na widowni gromkie oklaski.

Quidam.

## Zbożne życzenia.

W dniu 3 listopada r. b. p. Ignacy Sokołowski wygłosił na zebraniu ogólnem członków Kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego odczyt „w sprawie rewizji traktatu handlowego z Niemcami“.

Odczyt ten został wydrukowany w № 47 „Tygodnika Rolniczego“ i w ten sposób doszedł do wiadomości szerszej publiczności.

Na wstępie autor odczytu kategoriycznie zaznacza, iż uznaje „antagonizmy“ społeczne i „walkę między dwoma (sic!) grupami społecznymi, a mianowicie: między rolnikami i warstwami ludności, zainteresowanymi w rozwoju przemysłu“.

Sprawa postawiona jasno i szczerze — walka klasowa między wieśniakami i mieszczuchami.

Wezwanie brzmi: rolnicy wszystkich narodowości państwa rosyjskiego łączcie się, — bo interesy wasze są identyczne. Łączcie się nie na gruncie potrzeb kraju swego, lecz na gruncie interesów „agrariuszów czystej wody“ państwa całego.

Mamy więc tu solidarność klasową bez względu na różnice narodowościowe, wyznaniowe i wogóle kulturalne.

Ideałem autora są rolnicy niemieccy, którzy potrafili zdobyć decydujący wpływ na życie państwowe.

Wzór do naśladowania wskazany — należy stworzyć za przykładem niemieckim partję „agrariuszów“, wprowadzić partję tę do ciał prawodawczych, partja zaś, opierając się na masie wyborczej, stanowiącej 86 procent. ludności, da już sobie radę ze wszystkimi i wszystkimi.

Agrariusze niemieccy, jak wiadomo, występują w Reichstagu jako *partja konserwatywna*. Jądro partji tej tworzą „junkrowie“ pruscy, żyjący ideałami czasów feudalnych. Są to, mówiąc wyraźnie, ludzie tego samego pokroju, których u nas nazywają żubrami — jaskrawi przeciwnicy głosowania powszechnego, wstecznicy, brutalni zwolennicy



pięści! Nie wszyscy też rolnicy w Niemczech, jakby wywnioskować można z odczytu autora, należą do stronnictwa konserwatywnego. Bynajmniej! Nie mówiąc już o rolnikach—polakach, którzy mimo wspólności interesów ekonomicznych, stanowią odrębną grupę niezależną, stwierdzić należy, iż rolnicy-katolicy przeważnie należą do *centrum*. Partja agrarjuszów liczy obecnie zaledwie 42 członków na ogólną liczbę 397 posłów, i znaczenie swe zawdzięcza wyłącznie wpływom, które posiada w t. zw. „sferach“.

Widzimy więc, iż autor odczytu niepotrzebnie jeździł aż zagranicę po wzory. Nasi agrarjusze czystej wody, tym razem bez cudzysłowa, to znaczy—obszarnicy i więksi posiadacze rolni mają dzięki ustawie z d. 3 czerwca r. 1907 aż nazbyt uprzywilejowane przedstawicielstwo w Izbie państwowej, z krzywdą oczywiście, agrarjuszów nieczystej wody t. j. włościaństwa.

Prawda, drobny rolnik może mieć czasami interes wspólny z obszarnikiem, ale twierdzić, jak to czyni autor, że rolnicy, t. j. większość państwa Rosyjskiego *wszędzie i zawsze* muszą występować jedynie na podstawie interesów ekonomicznych... jest conajmniej dziwnem i nieuzasadnionem.

Jakież to, naprzykład, wspólny interes ekonomiczny łączy właściciela obszarnika, posiadającego gospodarstwo leśne, z otaczającą wioską, która las kradnie? Jakież to porozumienie i kiedy nastąpi między posiadaczem ordynacji i chłopem, odczuwającym głód ziemi, który musi, chcąc nie chcąc, porzucić swój zagon, bo nawet pies ogona na nim nie wyciągnie, i wędrować do obcych krajów, do obozu klasowo wrogiemu, do miasta?

Prelegent głosi walkę pomiędzy mieszkańcami miasta a wsi; uznaje antagonizmy społeczne; broni interesów rolnictwa ogólnopństwowego!

Odczyt ma charakter, że się tak wyrazimy, organizacyjno-bojowy. Dwa obozy—miasto i wieś. Ale wieś jednak zna obszarnika, parobka, chłopą; miasto znów zna fabrykanta, robotnika, rzemieślnika. Walka trwa pomiędzy obszarnikiem a parobkiem, pomiędzy fabrykantem a robotnikiem. Prelegent—pragnąłby zaś walkę pomiędzy pracą a kapitałem skomplikować jeszcze, przez sztuczne przeciwstawienie wsi — miastom.

Treść odczytu jest wielce pouczająca, aczkolwiek nie w sensie sprawy traktatu handlowego. Autor radzi, by rolnicy nasi występowali zawsze, jako grupa samodzielna i broniła interesów rolnictwa ogólnopństwowego. Doskonale! Błąd prelegenta polega jedynie za tem, iż do grupy żubrów zdecydowanych, dla których ideałem jest junkierstwo pruskie, zalicza autor odczytu aż 86% ludności państwa, które składają się wszak z włościaństwa; agrarjusze zaś „czystej wody“ tworzą u nas procent liczebnie znikomy, co nie przeszkadza im, naturalnie, chować do kieszeni renty gruntownej, zupełnie niewspółmiernej z ich liczebnością. Interes *posiadacza* ziemi i *pracownika* na roli jest sprzeczny i nie da się pogodzić nawet wskazaniem rzekomo wspólnego wroga, który mieszka w mieście. Tu, harmonja, tam zaś walka — oto ideał p. Sokołowskiego. Niestety rzeczywistość podrywa sobie z pobożnych życzeń domorosłych ekonomistów.

*Ad usum Delphini* nie należy też urabiać materiału naukowego. Prelegent podaje, że ludność miejska w Niemczech wynosi aż 70 % ogółu lu-

dności, by wskazać, iż w Niemczech mieszkańcy wsi, którzy stanowią zaledwie 30% dają radę skuteczną z 70 procentami mieszczuchów; nasi zaś „agrarjusze czystej wody“ w swej olbrzymiej 86-cio procentowej masie mogli by, gdyby zechcieli, doskonale poradzić sobie z nieliczną stosunkowo garstką mieszkańców miast i narzucić im swą przewagę. Statystyka atoli stwierdza, iż w Niemczech faktycznie procent ludności miejskiej wynosi 57,4. procent zaś ludności wiejskiej—42,6...\*)

Rozwój przemysłu jest dobrodziejstwem dla kraju i rolnictwa. Polepszenie bytu swego zawdzięczają rolnicy głównie ludności, w przemyśle zatrudnionej, która stale wzrasta. Ceny produktów rolnych rosną, *pomimo ceł ochronnych we wszystkich krajach* właśnie dzięki uprzemysłowieniu krajów takich, jak Niemcy, Anglja, Belgja, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

„Gospodarstwo wiejskie nie mniej, niż inne części niemieckiego życia gospodarczego, zainteresowane jest w istnieniu i rozwoju dalszym przemysłu niemieckiego. Ludność, w przemyśle zatrudniona, jest wszak rynkiem zbytu dla rolników. Przy pomyślnych i sprzyjających warunkach dla przemysłu produkcja rolna ma zbyt łatwy i ceny wysokie“...

Tak mówi Dr. Wohlmannstädter w książce swej „*Stand und Aussichten unserer Handelspolitik*“, wydanej w tym roku z powodu rewizji traktatu handlowego z państwem Rosyjskim\*\*).

Oto jak się przedstawiają wywody p. Sokołowskiego w świetle krytyki.

Żałować można tylko, że nie spotkały się one z należytą odprawą ze strony zebranych słuchaczy i mają być w dalszym ciągu przedmiotem dyskusji i rozważań, szerząc niepotrzebne bałamuctwo.

Marcin Augustowski.

## Beznadziejni.

Artykuł mój p. t. „Za wiele i za mało“ wywołał ze strony p. J. Hł. w „Kurjerze Litewskim“ odpowiedź, poprzedzoną o parę dni wcześniej, wystąpieniem na łamach tegoż pisma p. Wład. Życkiej.

I kobiece i męskie pióro wysunęły przeciwko moim twierdzeniom ten sam zarzut, mianowicie, że ziemi nie można uważać jedynie za warsztat pracy, lecz, że ziemiaństwo powinno rozbudzić w sobie ukochanie rodzinnego gniazda, przywiązanie do roli, poczucie obowiązku trwania przy ziemi, chociażby kosztem zaparcia się i wykoszlawienia swego „ja“.

Nie należy nigdy stawiać wymagań większych nad te, które przeciętna natura ludzka spełnić jest zdolna. Inaczej konkretny nakaz społeczny traci swe znaczenie *realne* i przybiera charakter wskazania *idealnego*, które istnieje jako cel odległy, do którego dążyć należy wprawdzie, lecz które nie odegrywa roli normującej stosunki społeczne.

\*) Prof. Dr. J. Conrad. *Grundriss zum Studium etc Statist. str. 77. Iena 1910.*

\*\*) Cyt. według „*Więsnika Finansów*“ № 44, r. 1913.



Nikom nie przychodzi do głowy *zwalczać* przywiązania do odziedziczonej po przodkach ziemi. Bardzo pięknie, o ile ktoś je posiada. Słowo drukowane jednak nie wpłynie w żadnym wypadku na jego powstanie lub wzmocnienie. Bowiem żadnego *uczucia* sztucznie wywołać nie sposób. Można jedynie nakazać i wpoić w społeczeństwo *poszanowanie* i *postuch* dla pewnych postulatów. Zadaniem publicystyki poważnej, w naszych warunkach jest surowe przestrzeganie, aby nie wykraczano przeciwko elementarnemu obowiązki narodowemu—nie wyzbywania się ziemi czy innych placówek ekonomicznych w ręce obce. Deklamacje na temat „posłannictwa dziejowego“ ziemiaństwa czas już wielki złożyć do archiwum.

Przez lat 40 obowiązywał ziemiaństwo nasze bezwzględny nakaz moralny trzymania się ziemi.

Z bardzo małymi wyjątkami, kosztem ogromnych nieraz wysiłków i ofiar, szlachta nasza wytrzymała na swem stanowisku. Z chwilą zniszczenia ukazu grudniowego skończył się okres niernormalny zastoju i społeczeństwo otrzymało możliwość ruchu, rozwoju. A dziś znowu rozlegają się nawoływania do powrotu na dawne stanowisko!

Nie trzeba wszakże zapominać, że czterdziestoletnie unieruchomienie wywarło wpływ fatalny nie tylko na stan ekonomiczny kraju, lecz i na psychikę społeczeństwa. Inteligencja ziemiańska, przykuta do swego kawałka ziemi, borykając się z przeciwnościami, zaprzątnięta troską jedyną o ratówki bankowe,—zobojętniała zupełnie dla spraw ogólnych, publicznych, zamknęła się w ciasnym kółku interesów osobistych, materialnych, pozostała daleko w tyle w ogólnonarodowym pochodzie kulturalnym. Ziemia pozostała wprawdzie, ale jej właściciele w sporej części utracili wartość czynników dodatnich w życiu społecznym. Kto zna dobrze nasz kraj, ten wie, ile jest w nim dworów, *de nomine* tylko uchodzących za placówki kulturalne!

W jakim więc celu je konserwować? Czy nie lepiej, aby przeszły one w ręce ludzi świeżych, energicznych, którzy wpuszczą więcej słońca do zatęchłej atmosfery?

Niezrozumiała jest obawa moich oponentów przed nowymi nabywcami.

Dlaczego oni właśnie mają być bardziej obojętni względem nakazów społecznych i narodowych, niż dawni właściciele? Sprzedawcykowie mogą się znaleźć w każdej sferze, w każdym środowisku. Żywienie jednak większego zaufania do dziedzicznej szlachty, niż do innych stanów jest co najmniej śmiesznym przeżytkiem.

P. Życka rzuca przytem taki frazes: „ciekawam np., czy który idejowy redaktor pozbyłby się redaktorstwa, gdyby mu wzamian ofiarowano lepiej rentującą... gorzelnię lub fabrykę zapalek?“. Dziwny przykład.

Jeżeli ten, czy ów właściciel ziemski jest przywiązany do swego majątku, kocha swą pracę i jest ze swego losu zadowolony, to czywiście nie będzie myślał o zamianie swych dóbr na kamienicę... Nikt go zresztą do tego nie będzie namawiał. Mowa wszakże o tych, którzy nie czują żadnego powołania do gospodarki i chcą się swego dziedzictwa pozbyć. Czyż syn redaktora musi zostać koniecznie dziennikarzem? A p.p. J. Hł. i W. Życka wymagają koniecznie, aby zamiłowanie do rolnictwa przechodziło z ojca na syna.

Tylko w starożytnych Indjach wszelkie zawody były dziedziczne. Wytwarzało to kastowość, która tamowała rozwój społeczeństwa i doprowadziła do upadku potężne państwo.

Coś podobnego również propaguje w XX-tym wieku „Kurjer Litewski“ i obraża się, że mu chcemy dawać rady! Zaiste bezcelowem jest radzić coś beznadziejnie choremu!

L. A.

## PRASA POLSKA.

— Głębokie a nader trafne spostrzeżenie uczynił w jednym z ostatnich numerów „Prawdy“ p. W. Rzymowski, wskazując na chroniczną chorobę, która trapi stale naród polski; na zamiłowanie do złotego środka, na usiłowanie godzenia sprzeczności, robienia zgody za wszelką cenę.

Od tej choroby zmarła Rzeczpospolita.

„Kogóż to nie próbowaliśmy już zjednać? Z kim nie próbowaliśmy się w dziejach powielekroć godzić? Zasiała nam drogę Targowica? Czyż się z nią rozprawiono? Nie! — Kochajmy się! zawołano — i po krótkim wahaniu wyciągnięto ku Targowiczom dłonie braterskie, wyciągnięto je, by na nie nałożono dyby.

Od owej chwili, od owej chwili śmiertelnej, ileż razy zastępowała nam drogę, w coraz to innej postaci, Targowica odmładzana, wskrzeszana, uporeczywa, jak zmora snu, i — zawsze na jej widok rozstępowała się wola narodu, jak ciało sydkie lub płynne, rozkrojone głazem, i zawsze, po krótkotrwałym wahaniu, rozlegało się z ust, niezłamanych, ale ugiętych nieprzejednańców, niby czkawka agonji, to złowieszczą pogodną, to trupio miłosne:

— Kochajmy się!

„Kochajmy się“ — to znaczy: niema granic, niema różnic żadnych między nami w narodzie. Niema i niechaj nie będzie! Leleweł na jednej ławie niechaj zasiada z Lubeckim! Mochnacki niechaj się pojedna z Wincentym Krasińskim! Ci, którzy idą naprzód, i ci, którzy idą wstecz, niechaj pojednają się ze sobą i zawrą zgodę przez wybór wspólnego miejsca spoczynku, wspólnego zastoju i wspólnej, powszechnej rezygnacji“.

„Ażeby uśmierzyć antagonizm w narodzie, przynosi się antagonizm do duszy jednostek.

Aby usunąć jedno pobojuwisko wielkie, tworzy się pobojuwiska milion: tyle ile jest głów myślących“.

To też w dziejach narodu tak rzadko ukazują się bezwzględne postacie—Kołłatajów, natomiast tak często wysuwają się na czoło Hamleci—Chłopicy. A już najbardziej rozpowszechnionym typem był i pozostał „człowiek poczciwy“.

Bajecznie go charakteryzuje Konopka w „Roku 1794-tym“ Reymonta.

„Człowiek poczciwy to najniebezpieczniejszy z tyranów. Poczciwy człowiek nie przeciwi się niczemu przez poczciwość: bowiem warcholstwo uważa za tężyznę; przemoc i zbrodnię wytłómaczy krewkością; nikczemność—swobodą przekonań; oczywistą zdradę — rozumem in statu. Wszystko taki wyrozumie akuratnie i wszystkiemu poczciwie pobłaży, byle jeno dali mu zażywać spokoju i nie tykali jego przywilejów! Panu Bogu świeczkę, a djabłu ogarek — to jego święte przykazanie.

Po stokroć wolę człowieka twardego, nieużytego, srogim, egoistą i szczerym nieprzyjacielem ludzkości. Przynajmniej wiem z kim sprawa, jak go zmacać po słaźźnie i czego się spodziewać!

Ale „człowiek poczciwy“ to jakbyś miałoko-



liczność z pierzyną; uderz kijem — spęcznieje; strzelisz—kula utonie bez śladu; przejedziesz sztychem—jakbyś szył powietrze!

Uważałeś go przyjacielem, przez poczciwość wyda cię wrogowi, a jeszcze się zgniewa na ciebie, gdy mu wypomnisz, boć on pragnał najlepiej! Człowiek poczciwy czuwa nad wszystkim, troska się, boleje, rzewnie płacze, lecz niczemu nie zapobieży, bo wiem poczciwość wzbrania mu uczynić przykróść choćby oczywistemu zdrajcy! Przekonałeś go do sprawy, zaprzysięgnął postąpić wedle sumienia i powinności—cóż, kiedy w pół godziny potem to samo przyobiega twojemu adwersarzowi. Na wołowej skórze nie spałaby uczynków człowieka poczciwego“.

Z tym człowiekiem poczciwym „Prawda“ chce stoczyć walkę na śmierć i życie.

„Uczono nas przez pokolenia, że wszelka zgoda lepsza jest od walki; ale odwrócić teraz trzeba tę zasadę, i głośno, i doniosło, i z krańca w kraniec narodu, inne obwołać hasło: Od martwej zgody lepsza jest żywa walka!

Niech żyje walka! Nie lekajmy się, że walka własne osłabimy siły, bo tylko przez walkę siły rosną, bo tylko do walki siły są potrzebne, i tam, gdzie się uśmierza i tłumia walkę, tam się dyskredytuje i obniża wartość siły“.

Ale jak walczyć z cieniem, z widmem, z upiorem? Chyba p. Rzymowski zna jakieś zaklęcia tajemnicze, mocą których mary zamienia się w kształty ludzkie, tętniące krwią i obdarzone sprężystymi mięśniami... Boć tylko o brak temperamentu się rozchodzi...  
 — Młodzież polska, studująca w wyższych zakładach naukowych w Petersburgu powzięła myśl wydawania własnego organu, w postaci dodatku do „Dziennika Petersburskiego“. Ukazały się już trzy numery tego wydawnictwa p. t. „Głos młodych“, świadczące o głębokim uspołecznieniu kierowników pisma i poważnem traktowaniu przez nich swego odpowiedzialnego zadania. Zarzucić jedynie można redakcji, że nie ogranicza swej kompetencji do spraw, wchodzących w zakres jej specjalności i wprowadza na łamy pisma kwestje, mało mające wspólnego z zagadnieniami, bezpośrednio dotyczącymi życia młodzieży.

Tematów zaś z tej ostatniej dziedziny jest—mnóstwo i to wielce doniosłych. Przedewszystkiem kwestja szkolna w Królestwie Polskiem, w której „Głos młodych“ ma wyrobione zdanie.

Stwierdzając,

...że szkolnictwo polskie mocho stanęło na nogi i obecnie z roku na rok normalnie rozwija się, gdyż dziś przodująca, rzeczywiście uobywatelona część polskiego społeczeństwa powierza swe dzieci polskim szkołom nie tylko w imię ich polskości, lecz i wobec ich coraz wyższego poziomu pedagogicznego.

„Głos młodych“ zwraca jednocześnie uwagę, że

...całe zastępy polskiej młodzieży uczęszczają do szkół rządowych, że do polskich kolonji studenckich w Cesarstwie obecnie z Królestwa napływa prawie wyłącznie i to w coraz większej ilości młodzież z tych ostatnich. a stosunek do nich ogółu staje się kwestją palącą, widzimy również, że do uniwersytetu i politechniki w Warszawie uczęszcza część młodzieży polskiej.

Z drugiej zaś strony, czy to w głośnej uchwale narod.-demokracji, na którą otrzymała ona w sobie p. Dmowskiego nie mniej głośną odpowiedź od młodzieży, czy też w ufundowaniu przez obóz realistów stypendjów imienia ich wodza Ludwika Straszewicza dla studenta polaka i litwina na uniwersytecie i politechnice

w Warszawie — grupy oportunistyczne starszego społeczeństwa dały wyraz opinji w kwestji szkolnej.

Redakcja nie uważa za stosowne otwierać łamów swego pisma dla dyskusji w drażliwej kwestji uczęszczania do szkół rządowych w Królestwie, gdyż rzecz prosta z przyczyn zewnętrznych dyskusja miałaby charakter jednostronny. Podaje natomiast projekt inny.

„Zbliżają się ferje świąteczne, podczas których odbywają się zwykle zjazdy różnych obozów idejowych młodzieży polskiej, a na porządku dziennym tych zjazdów postawiona oczywiście będzie i tak ważna sprawa szkolna.

I dlategośmy ją poruszyli. Tam nie skrupowani ubocznymi względami koledzy nasi mają możność szeroko i wszechstronnie omówić tę kwestję. Należałoby nie zadawalnając się ogólnikowem potwierdzeniem dawnych uchwał, określić swój stosunek do zjawisk, które zaszły na gruncie spraw związanych z położeniem szkolnictwa polskiego i rządowego w Królestwie w ciągu lat ostatnich i wyraźnymi dyrektywami co do zagadnień konkretnych wzmocnić i utrwalić tę tak niezmiernie ważną sprawę.

P.zyczynić się do tego można zaznajamiając ogół kolegów i koleżanek, nie posiadających dokładnych informacji, o stanie szkolnictwa polskiego w chwili obecnej, przez oświetlenie tej sprawy ze strony faktycznej, zbieranie i zestawianie statystycznych danych za cały ten okres, wydanie odpowiedniej monografji i t. d.“

Ze swej strony redakcja podejmuje się zebrać dane o ogólnej ilości młodzieży polskiej we wszystkich zakładach naukowych Cesarstwa.

Spółceństwo niewątpliwie z zaciekawieniem będzie oczekiwało wyników tej ankiety.

## Manifest futurystów.

Z terminem „futuryści“ spotykamy się obecnie na szpaltach pism codziennych nader często. Spopularyzowały go ogromnie skandaliczne wybryki petersburskich wyznawców tego kierunku, jak zwykle w Rosji, doprowadzających wszelką myśl do ostateczności, do karykaturalnej przesady. Nie wielu jednak zdaje sobie dokładnie sprawę, co należy rozumieć pod mianem futuryzmu, którego źródła szukać należy we Włoszech, gdzie przed kilku laty oszołomiły społeczeństwo wystąpienia poety Marinettiego i jego zwolenników.

Streścić istotę i dążenia ruchu futurystycznego nie jest rzeczą łatwą. Najlepiej jest obrazuje manifest futurystów, drukowany po raz pierwszy w „Figaro“ jeszcze d. 20 lutego 1901 r.

Oto jego przekład dosłowny:

„Oto pieśń nasza: Kochamy niebezpieczeństwo, bije w piersi naszej energja i odwaga szaleńców.

Główne elementy poezji naszej — to odwaga, śmiałość i bunt.

Literatura wielbiła dotąd martwą refleksję, ekstazę i drzemkę. My wielbić będziemy napastniczy ruch, gorączkową bezsenność, gimnastyczny krok, niebezpieczny skok, uderzenie w pysk i pięścią w łeb.

Oświadczamy, że blask wszechświata się wzmógł; przybyło mu nowe piękno. Piękno chyżości. Automobil wyścigowy, którego pudło rurami zdobione, co jak węże olbrzymie parskają raz wraz wybuchowem tchem, ryczący automobil, co



pedzi, jak po kartaczach, piękniejszy jest niż Nika z Samothraki.

Chcemy śpiewać człowieka, co frygę trzyma w swym ręku; jej ós idealna przebija ziemię pędzącą wzdłuż swej orbity.

Poeta podawać winien siebie z ogniem, z hojnością, z przepychem, żeby spotęgować entuzjazm bijący od elementów zasadniczych.

Tylko w walce jest piękno. Nie masz arcydzieła bez momentu napastniczego. Poezja musi być gwałtownym atakiem przeciw siłom nieznanym; musi im wyzwanie rzucać w twarz: niech się wija u stóp człowieka.

Stoimy na ostatnim przyładku stuleci!... Po co się nam oglądać wstecz, właśnie dziś, gdy nam czas wyłamywać tajemnicze wrota Niemożliwości? Czas i przestrzeń umarły wczoraj. My żyjemy dziś w absolucie, bośmy już stworzyli wieczną, wszechobecną chyżość.

Będziemy wielbili wojnę — tę jedyną higienę świata — militarizm, patriotyzm, zniszczenie wróżący giest anarchistów, piękne idee, które niosą śmierć, będziemy wielbić pogardę kobiety.

Będziemy burzyli muzea i biblioteki, akademie wszelkiego rodzaju; zwalczać będziemy moralizm, feminizm i wszelkie tchórzostwo które oportunistem trąci czy utylitaryzmem.

Opięwać będziemy tłumy, których motorem praca, rokosz lub rewolta; tysiącem barw i tysiącem dźwięków o brzeg bijące fale rewolucji w nowoczesnych stolicach świata; gorączkowy ruch, co wre w arsenałach i dokach w gwałtownym świetle elektrycznych księżyców, wiecznie głodne dworce, co pożerają węże dymem ziejące; fabryki niemi dymów uczepione o chmury, mosty do olbrzymich gimnastyków podobne, które skaczą przez rzeki, a iskrzą się w słońcu jak klingi sztyletów; szukające przygód parowce, które horyzont wietrza, szerokie piersi lokomotyw, które ciężko po szynach stąpają, niby olbrzymie rumaki stalowe okiełzane długimi rurami; ślizgowy lot aeroplanów, których śruba łopocze jak flaga, kiedy wichur dmie a klaszcze, jak tłum gdy szaleje.

Z Italji rzucamy w świat niby żagiew płonąca na dachy ten manifest gwałtu i przewrotu, mocą którego dzisiaj stwarzamy „futuryzm“; z Italji bo chcemy ten kraj uwolnić od wstrętnego raka, który go toczy: od profesorów, archeologów, ciceronów i od antykwarzy.

Zbyt długo już była Italja wielkiem targowiskiem starzyzny. Chcemy ją uwolnić od niezliczonych muzeów, których nieprzybrana moc ją okrywa, niby cmentarzów bez liku. Muzea: cmentarze!... Istotnie, to identyczne przez to bezładne nagromadzenie mnóstwa ciał, które się nie znają nawzajem. Muzea: publiczne przytułki, do których się chodzi spać na wieki w obliczu istot znienawidzonych lub nieznanych! Muzea: mordownie głupie; tam się szeregi malarzy i rzeźbiarzy po ścianach rzną bez litości; bije jeden drugiego barwą i linją!

Można do nich pielgrzymki odbywać raz w rok, jak na cmentarz chodzić w dzień Zaduszny... wolno. Raz na rok składać kwiaty u stóp Giocondy, wolno... Ale dzień w dzień nasz smutek i odwagę kruchą i niepokój chorobliwy do muzeów na przechadzki prowadzić — nie wolno! Po co? Żeby się truć, żeby gnąć?

Cóż można znaleźć w starym obrazie, jeśli

nie kurczowy wysiłek artysty, który bramy niemożliwości wyłamać usiłuje, żeby wiernie swój sen ucieleśnić?... Podziwiać stary obraz, to znaczy wylewać wrażliwość naszą w urny z prochami zmarłych, zamiast nią daleko naprzód tryskać, fontanną twórczości i czynów.

Chcecież więc najlepsze siły wasze strwonić na wiecznych a nieproduktywnych zachwytach nad tem, co minęło, mimo, że was to wyczerpuje fatalnie, pomniejsza i przybija do ziemi?

Istotnie, codzienne zwiedzanie muzeów, bibliotek akademji (cmentarze zmarnowanych wysiłków, Golgoty na krzyż wbijanych snów, rejestry skrzydeł połamanych!) to dla artysty rzecz równie zgubna, jak zbyt długotrwała opieka rodziców nad inteligentnym młodzieńcem, którego żądza sławy pali a talent ponosi. Dla innych, dla inwalidów, dla więźniów — tak — ostatecznie. Czcigodna przeszłość jest dla nich może balsamem na rany, skoro przyszłość przed nim zamknięta... Ale my nie chcemy nic wiedzieć o przeszłości, my młodzi, dzielni, żywi futuryści!

Niechaj więc przyjdą dobrzy podpalacze, a palcy niech sobie w karbolu opluczą! Już są! Już przyszli... Podpalić pulpy bibliotek! Kanałów bieg skierować; niechaj zaleją muzea!.. A jakaż rokosz patrzeć, jak nurt ich porywa i niesie sławne stare płótna, podarte dziś i splukane!.. Kilofy, siekiery i młoty w dłoń! Podkopać fundamenty czcigodnych, starych miast!

Zaledwie trzydzieści lat mają najstarsi z nas; przynajmniej dziesięć lat jeszcze mamy przed sobą; możemy dzieła dokonać. Kiedy będziemy mieli po czterdzieści, niech wtedy przyjdą młodszy i dzielniejszy od nas i niech nas do kosza wrzucą, jak niepotrzebny skrypt. Owszem, my tego chcemy! Wyjdą przeciwko nam ci nasi spadkobiercy; z daleka przyjdą, z wszystkich stron; w ich tańcu będzie lekki rytm ich pierwszych poematów; ich palce krzywe jak szpony powietrze szarpać będą; u wrót akademji będą wciągać dobrą woń naszych duchów w rozkładzie, duchów już przeznaczonych katakumbom bibliotek.

Ale nas już nie będzie. Oni nas w noc zimową kędyś w polu znajdują u wrót ponurego hangaru. Deszcz monotonnie bębnić będzie po płótnach dachu; przy nas nasze aeroplany niecierpliwie, gotowe do lotu. My właśnie w ogień ciskać będziemy nasze książki i obrazy dzisiejsze, żeby sobie ręce zagzać nad lichym płomieniem ogniska.

Otoczą nas tłumem, dysząc będą strachem i pogardą; z wyrazem rozpaczki patrzeć będą na naszą dumę, odwagę i moc. Rzucą się na nas, bo ich palić będzie nienawiść ku nam, a serce ich będzie rozpierać równie wielką miłość i uwielbienie dla nas. W ich oczach promienieć będzie jasny blask silnej, zdrowej niesprawiedliwości. Bo sztuka żyć może tylko gwałtem, okrucieństwem i niesprawiedliwością.

Zaledwie trzydzieści lat mają najstarsi z nas, a jednak skarby zdołaliśmy już rozrzucić. Skarby siły, miłości, odwagi, chytrności, hartu ducha, na gwałt, w szalonym pośpiechu, bez wahania, bez tchu; na przepadłe.

Spojrzyjcie na nas! Nam nie brak tchu... Serca nasze nie zmęczone ani trochę. Bo je karmi płomień, nienawiść i chyżość... To was dziwi? Tak bo wy sobie nie przypominacie nawet, żeśmy tylko sumą i przedłużeniem naszych przodków....



Być może!... Niech i tak będzie!... Ale cóż z tego? Nie chcemy tego słyszeć!... Niech się nikt nie waży powtarzać te słowa bezczelne!...

Bacność! Do góry głową!

Na szczycie świata stojąc, raz jeszcze wzywając nasze ciskamy gwiazdom w twarz!..."

## KRONIKA

### == Szkolnictwo poiskie w Królestwie.

Unja Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Postępowej-Filareckiej wydała niedawno następujące ciekawe statystyczne dane dotyczące się średniego szkolnictwa w Królestwie.

Obecnie istnieje w Królestwie 182 polskich średnich męskich i żeńskich zakładów naukowych. Z tego 117 żeńskich i 65 męskich i koedukacyjnych. Szkoły męskie mamy poniżej: 6 szkół filologicznych, 5 szkół filol. z oddziałami realnymi, 9 gimnazjów ośmioklasowych, 5 szkół realnych siedmioklasowych i jedną siedmioklasową, 22 handlowki siedmioklasowe z tych jedną koedukacyjną, 6 niższych handlowek, 5 szkół przemysłowo technicznych, 6 progimnazjów czteroklasowych i sześcioklasowych filologicznych i realnych.

Z żeńskich zaś szkół mamy w Królestwie 106 pensji ośmio-siedmio-pięcio i czteroklasowych, oraz 11 szkół handlowych.

### == Jubileusz publicysty.

W d. 1 (14) b. m. grono najbliższych przyjaciół politycznych obchodziło jubileusz 25-letniej pracy w polu publicystycznym p. Józefa Hiaski, spółredaktora "Kurjera Litewskiego". Obchód miał charakter ściśle prywatny.

== Zwalczanie handlu żywym towarem i zniesienie reglamentacji prostytucji było tematem obrad na zebraniu nadzwyczajnym do 9-go grudnia n. st. w Związku równouprawnienia kobiet polskich w Warszawie.

Po ożywionej dyskusji, w której wykazywano, iż reglamentacja jest niesprawiedliwa, bezskuteczna, stanowi podwalinę handlu żywym towarem, więc znieść ją trzeba koniecznie, uchwalono następującą rezolucję:

I. Związek równouprawnienia kobiet polskich na zebraniu nadzwyczajnym dn. 9-go grudnia 1913 r. uchwalił zwrócić się do posłów polskich z żądaniem usilnego przez nich poparcia wniosku, złożonego już Dumie Państwowej, o zniesienie reglamentacji prostytucji. Obietnice bowiem czynione członkiniom Z. R. K. P. na piśmie i ustnie przez p.p. Posłów: Parczewskiego, Harusewicza i Swiężyńskiego pozwalają spodziewać się, iż posłowie polscy wyteżą usiłowania, aby wniosek o zniesieniu reglamentacji prostytucji przeprowadzić, a następnie uchwalić prawa dla ukrócenia handlu żywym towarem, któreby zarazem uniemożliwiały wyrabianie na jego wszechświatowych rynkach specjalnej marki „towaru polskiego“.

II. Związek postanowił również rozwinąć akcję dla uświadomienia opinii publicznej przez konferencje-odezwy odczyty i t. p. o konieczności zniesienia reglamentacji prostytucji, aby móc podjąć skuteczną walkę z ohydą handl. żywym towarem.

III. Związek odwołuje się do wszystkich stowarzyszeń o pokrewnych zadaniach i celach o rozwinięciu współczesnej akcji. Motywy tych odezw będą różne, jak odmiennymi są środowiska działalności, jednak wszyscy domagamy się zgodnie:

„Zniesienie reglamentacji,  
Zamknięcia domów rozpusty“.

### — Rozłam wśród październikowców.

W związku z uchwałami, powziętymi na zjeździe stronnictwa październikowców nastąpił rozłam we frakcji parlamentarnej stronnictwa. Mniejszość z postem Chomiakowem na czele domagała się, aby frakcja ściśle wykazywała powyższe uchwały, większość zaś utrzymywała, że są to tylko ogólne dyrektywy, i że nie powinny one posłów krępować.

Próby sklejenia rozpadających się części frakcji nie powiodły się. Dotychczas wystąpiło z frakcji 22 posłów, których przewano „listopadowcami“.

### == Przemysł w gub. grodzieńskiej.

Według danych komiteu statystycznego gubernialnego, w r. 1912 w granicach gub. grodzieńskiej było 3406 zakładów przemysłowych, w których pracowało 22,455 osób. Produkcja ogólna w tym roku dosięgła 26,570,964 rubli. Pierwsze miejsce zajmuje przemysł tkacki, grupujący się głównie w Białymstoku i jego powiecie.

### == Emigracja z Litwy i Białejrusi.

W ciągu roku 1912 przez Lipawę wyjechało z granic państwa wogóle 58,507 emigrantów. W tej liczbie 32,550 osób, udało się wprost do Ameryki i 25,951 do portów angielskich. Z sześciu gubernji litewsko-białoruskich emigrowały 25,272 osoby, w tem z gub. wileńskiej — 2,721, kowieńskiej — 3,582, grodzieńskiej — 7,018, mińskiej — 8,380, witebskiej — 1,322 i mohylowskiej — 2,350 osób.

## Książki nadesłane do Redakcji.

Weyssenhoff Józef. *Soból i Panna*. Cykl myśliwski. Ozdobiony 85 barwami i czerwonymi rysunkami Henryka Weyssenhoffa. Gebethner i Wolff. Warszawa 1913.

„Czerwony Kogut“ Nowele litewskie. Tłóm. Kazimierza Puida, z przedmową Józefa Weyssenhoffa. Warszawa 1913. Gebethner i Wolff.

Savitri. *Utopja*. Powieść. Nakładem W. S. C. Warszawa 1914.

Maliszewski Edward. *Polacy i polskość na Litwie i Rusi*. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1914.

Grabowski Edward. *Ustrój państwowy Rosji*. Zarys obowiązującego prawodawstwa. Warszawa 1914. E. Wende i S-ka.

Twardowski Kazimierz. *O psychologii jej przedmiocie, zadaniach, metodzie, stosunku do innych nauk i o jej rozwoju*. Odbitka z „Encyklopedji wychowawczej“. Warszawa 1913.

Januszewski Jul. inż. *Przemysł ludowy na Litwie i Białorusi a gdzieindziej*. Odbitka z № 1 „Przeglądu Handlowo-Przemysłowego“. Wilno 1913.

„Jutrzenka“. Kalendarz dla wsi i miast na rok 1914. Nakładem księgarni L. Idzikowskiego w Kijowie.

## Treść numeru.

Po dwóch latach.

Zamiast rydza — muchomór.—Wi—ski.

Pozbawieni niektórych praw stanu.—Argus.

Źródło bogactwa krajowego — w niełasce.—J. Sorokowicz.

Przemiany w ugrupowaniach litewskich.—M. R.

Pożłam wśród ludowców.—J. Krzesławski.

„Miles gloriosus“.—St. Posner.

Ciernie drogi kobiecej.—T. Zakrzewska.

Krok naprzód.—Cz. Jankowski.

Z księgi ciszy.—J. St. Wierzbicki.

Dokoła sceny.—Quidam.

Zbożne życzenia.—M. Augustowski.

Beznadziejni.—L. A.

Prasa polska.

Manifest futurystów.

Kronika.

Odcinek: „Nieco o krytyce i krytykach“—B. Zahorski.



## Śpieszcie nabywać działki ziemi w Zwierzyńcu.

Do sprzedania pozostała szczupła ilość gruntu. ——— Obszar parceli według życzenia nabywców.

CENY NIZKIE. :—: WARUNKI DOGODNE.

Są w niewielkiej ilości parcele przy rzece. Po informacje należy zwracać się do Biura sprzedaży parceli w **Zwierzyńcu**

Wilno, „Zwierzyniec“.

Prospekt S-to Jerski d. № 68. Haase. (drugi dom od mostu Zwierzynieckiego). Telef. № 46.

# Humanista Polski

miesięcznik polityczno-społeczno-literacki, wydawany i redagowany przez

**Aleksandra Świętochowskiego.**

Prenumerata roczna rb. 3 kop. 30. Adres: Redakcji — dla gazet, listów i wszelkich przesyłek. Warszawa, Wilcza 32. Administracji: Piękna 15.

# KRYTYKA

**Czasopismo polityczno-społeczne i artystyczno-literackie**

wychodzące od piętnastu lat w Krakowie od Stycznia 1914 przeobraża się na

**DWUTYGODNIK**

Program „Krytyki“: samoistność i twórczość narodu i jednostki: Szereg pisarzy (D-r Boi. Limanowski, Wł Studnicki, W. Feldman, D-r M. Kukiel, D-r M. Sokolnicki, i inni) rozbiiera bieżące sprawy polityki i wojskowości polskiej, gdy myśliciele (I. Wł. Dawid, Kaz. Bleszyński etc.) oraz wybitni artyści pióra torują drogę wysokiej kulturze duchowej. „Krytyka“ pragnie przekonywać czytelnika, nie dogmatyzować, umieszcza tedy artykuły dyskusyjne. Nadto w każdym numerze sprawozdania z ruchu wychowawczego, z teatrów, nowości wydawniczych etc. O Królestwie i i Rosji umieszcza „Krytyka“ stale obszernie artykuły, zaznamiające ze stanem rzeczy krytycznie.

W roku 1913 umieszczało swe prace w **Krytyce** około 100 pisarzy, wśród których znajdujemy talenty pierwszorzędne.

Jako dwutygodnik będzie „Krytyka“ mogła spełniać swe zadanie w tempie szybszem w sposób nierównie aktualniejszy.

Prenumerata „Krytyki“ wynosi rocznie 20 k. 10 rb., półrocznie 5 rb. 10 koron.

Adresować należy: Administracja „Krytyki“, Kraków, ul. Staszica 5.



# Mistyczny Człowiek Tourjaen!

Nieszczęśliwi i zwątpiali, ofiary losu i wszyscy ci, którzy pragną doznać szczęścia, uniknąć swego przeznaczenia, zdobyć sobie miłość ukochanej kobiety, wogóle uzyskać wszystko, czego człowiek pragnie; odkryć najgłębsze tajemnice, dowiedzieć się, co się w sąsiednim domu dzieje, wykorzenić pijaństwo, samogwałt (onanizm) i inne rozmaite zbrocenia; mieć stałe szczęście w grach i loterii, pozyskać władzę nad innymi ludźmi, we wszelkich handlowych przedsięwzięciach mieć stałe powodzenie i t. p. i. t. d. niech zażądamy wysłania im dzieła w języku polskim, które ich o tem pouczy. Dzieło to wysyłam darmo, jedynie ze zwrotem wydatków w kwocie rb. 0,75, które nadsyłać należy w liście w markach pocztowych pod adresem:

I. TOURJAEN psycholog. Bruksella — Centre. Boîte postale 125, Belgia.

E. 79.

# LAMPY WOTAN

żarówki ekonomiczne

znane ze swej trwałości, z włóknem z ciągnionego drutu, nie zaś ze stężalej masy.

od 5 do 3,000 świec.

Rozchód energii jeden watt na świecę.

SKŁAD GŁÓWNY

Wileńskie Biuro Techniczne

K. Huszcza, W. Malinowski

WILNO,

ulica Wileńska № 23.